



RATOWNICY PRZYBYLI NA CZAS

NIOSĄC PIERWSZĄ POMOC SAMOTNEMU NARCIA-
RZOWI, KTÓRY ULEGŁ WYPADKOWI W GÓRACH.
O OFIARNEJ PRACY TATRZAŃSKIEGO POGOTO-
WIA RATOWNICZEGO PISZEMY W REPORTAŻU
ZAMIESZCZONYM NA STRONACH 12 I 13.

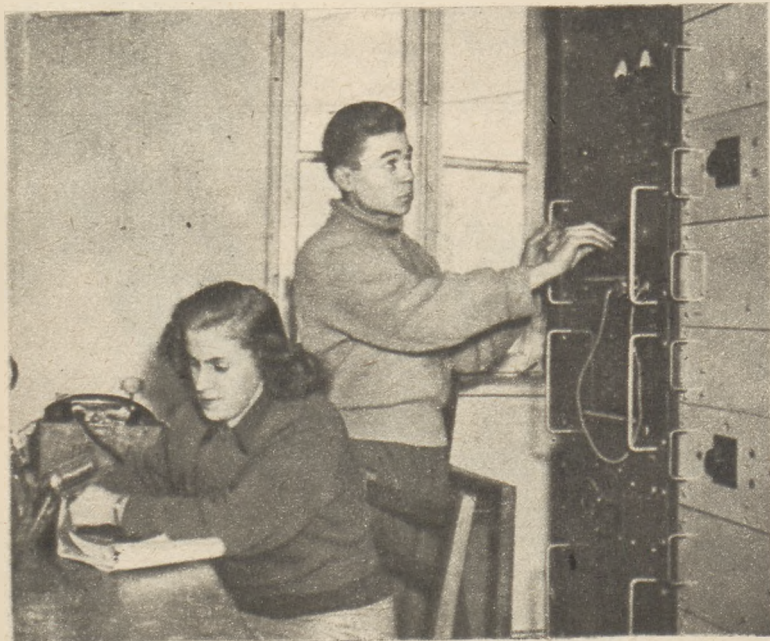
Fot. — W. Werner

NOWY PIEC HUTY „KOŚCIUSZKO“



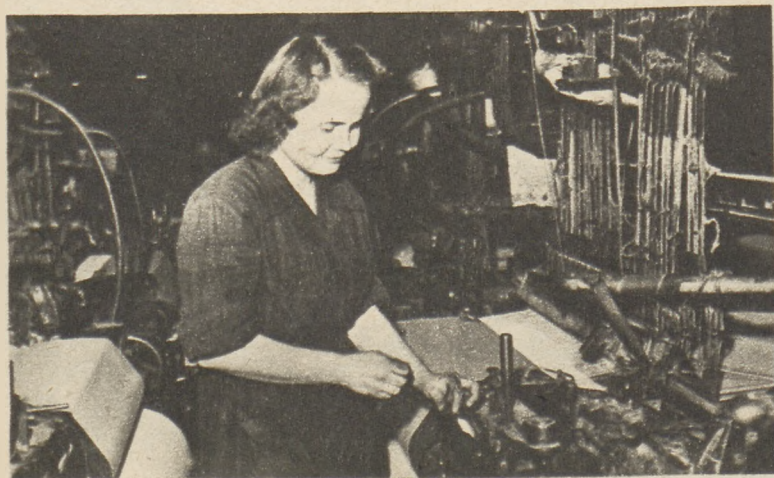
W hucie „Kościuszko” dokonano pierwszego spustu stali z nowo-wybudowanego pieca „C”. Jest to trzeci nowy piec w tej hucie.

RADIOWĘZEL W NOWEJ HUCIE



M. Tzela i M. Kowalczyk są pracownikami radiowęzła w Nowej Hucie, który nadaje codziennie bogaty program dla załogi kombinatu.

W ZAKŁADACH IM. STALINA



Do wykonania zadań Zakładów Przem. Bawełnianego im. Stalina w Łodzi przyczyniła się wykonująca 113% normy Zofia Kalucka.

POSŁOWIE PRZYJMUJĄ WYBORCÓW



W całym kraju posłowie na Sejm przyjmują zgłaszających się obywateli ze swoich okręgów. Poseł J. Trusz z Gdyni zapoznaje się ze sprawą ob. Kedyna, która prosi o pomoc i radę.

ZMP-OWCY OTRZYMUJĄ NOWE LEGITYMACJE



Młodzież ZMP-owska otrzymuje nowe legitymacje. Na „Batorym” dostał ją m. in. E. Dakowicz.

PRZED ZAWODAMI BOJERÓW



Na jeziorach Augustowskich trenują załogi bojerów, które staną do mistrzostw akademickich.

ZIMOWY REKORD MURARSKI



Murarze Warszawy. uwaga! Nowy rekord zimowy ustanowiła trójka murarska z Olsztyna, w składzie: S. Dołęgowski, F. Adamowicz i E. Zaszyński, układając w ciągu ośmiu godzin 49.216 cegieł.

NA BUDOWLACH KOMUNIZMU



CAF
Na jednym z odcinków budowy Kujbyszewskiej Elektrowni Wodnej czynne są mechaniczne betoniarnie, obsługiwane przez niewielką wykwalifikowaną załogę.

TEATR IM. GORKIEGO W STALINGRADZIE



CAF
W odbudowanym Stalingradzie czynne są już od dawna wspaniałe teatry, kina, biblioteki i muzea. W pięknym gmachu mieści się Teatr Dramatyczny im. Gorkiego.

DEMONSTRACJA INWALIDÓW W RZYMIE



Keystone
Na ulicach Rzymu odbyły się wielkie demonstracje inwalidów, domagających się podwyższenia głodowych rent. Demonstrantów brutalnie zaatakowała policja.

SWIAT NASZA KRONIKA

BOMBA atomowa padła na Bronx!

Mamy w literaturze naszej wspaniały opis Bronx sprzed osiemdziesięciu lat. To tutaj gnieździł się w nędznej norze Wawrzon Toporek z córką Marysią — dwoje chłopów polskich, bohaterów sienkiewiczowskiego „Za chlebem” — po przebyciu oceanu w poszukiwaniu szczęścia, dobrobytu, a przede wszystkim pracy w Ameryce. To tutaj Toporkowie żywili się resztkami zepsutego warzywa, wyłowionego w brudnej wodzie, lub wyżebranymi kartoflami z błota podniesionymi. To tutaj, wyrzuceni na bruk, noc spędzali na deskach portowego pomostu. To tutaj Wawrzon doszedł do przekonania, że jedynym wybawieniem Marysi od śmierci głodowej jest — udusić ją.

O Bronx ówczesnym pisał Sienkiewicz, iż jest to „jaskinia zbrodni, nędzy, głodu i łez”. Emigrancko-robotnicze przedmieście Nowego Jorku wyrosło na tej nędzy, głodzie i łzach emigranckich pokoleń, przechodzących przez dziesiątki lat przez to piekło, rozwierające się dla nich u samych wrót fałszywej ziemi obiecanej. Pisał Sienkiewicz o nędzy ludzkiej w tej dzielnicy nowojorskiej, o jej brudzie i zaniedbaniu: „Okna odrapanych domów ponuro przeglądają się w tej wodzie, której plugawa powierzchnia pstrzy się strzępami papieru, tektury, kawałkami szkła, drzewa i blachy od pak okrętowych; podobnymi strzępami zarzucone są całe ulice, a raczej cała pokrywająca je warstwa błota”.

Bomba atomowa spadła na Bronx, a celem upozorowania wielkiego pożaru podpalono kupę śmieci. Bo bomba też była upozorowana. W „Trybunie Ludu” z 30 stycznia czytaliśmy korespondencję z Nowego Jorku, opisującą alarm atomowy ogłoszony w tym mieście jednego z dni przed świętami Bożego Narodzenia. Alarm objął całe miasto, ale za główną scenę komedii obrano właśnie dzielnicę Bronx — dzielnicę robotników i pracowników umysłowych. Tam szczególnie energicznie działała wokół płonącej kupy śmieci straż ogniowa, tam najenergiczniej działała policja oraz „Obrona Cywilna”.

CIEKAWE, że mając do wyboru tak wielki obszar miasta, władze amerykańskie właśnie Bronx postanowiły zaatakować swą urojoną bombą atomową. Nie kazały jej paść ani na wielkostołeczny Broadway, ani na piętrzącą się drapaczami Piątą Avenue, ani na symboliczną Wall Street. Według wyboru władców dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, nie wiadomo przez kogo rzucona bomba paść miała nie gdzie indziej, ale właśnie tam, gdzie mieszkają ludzie pracy tego kraju.

Tak to odsłonięta została słabizna USA. Władcy Ameryki obawiają się, i słusznie, że ro-

botnicy amerykańscy, że lud amerykański nie dał się całkowicie ogarnąć sztucznie szczepioną mu histerią wojenną. „Próbnym nalot atomowy” na Nowy Jork ze specjalnym wyróżnieniem Bronx — to próba plastycznej agitacji, usiłującej przekonać ludzi z Bronx, że ktoś w świecie zagraża ich życiu, że ktoś w świecie konstruuje bomby, mające za cel zniszczenie ich domów. A my o Bronx pamiętamy jako o miejscu, w które wsiąkło wiele łez i krwi polskiego chłopca i polskiego robotnika, którzy przybywali do Ameryki zwabieni fałszywymi obietnicami, a wraz z innymi emigrantami stać się mieli mimowolnymi budowniczymi fortun dzisiejszych amerykańskich cesarzów.

Jeden zwłaszcza Cezar przypomina się, gdy pomyśleć o tej płonącej kupie bronkskich śmieci. Oczywiście Neron. Jeśli sam nie podpałił on Rzymu, to w każdym razie wykorzystał przypadkowo wybuchły pożar, aby spróbować obrócić niezadowolony lud w niego godzące — przeciwko ówczesnym ludziom postępu głoszącym równość wolnych i niewolników. Jak wiadomo, tymi sztuczka-ami, tymi efektownymi fajerwerkami Neron nie zapobiegł ani swojemu upadkowi, ani rozkładowi ustroju opartego na niewolnictwie. Nerońsko-komedianckie zrzuty bomb atomowych na Bronx nie pomogą także pseudo-cesarzom Ameryki. Tak samo, jak im nie pomagają od wielu, wielu miesięcy szerzone pożary na koreańskim półwyspie.

IOTO dziś znajdują się w świecie ludzie, którzy pragnęliby nie tylko pogodzić chrześcijan ze współczesnymi Neronami, ale jeszcze na dodatek uczynić ich z obowiązku, z zasady pretorianami imperializmu. Usiłują oni dowieść, że z zasad wiary ich wynikać ma rzekomo obowiązek obrony ustroju zła, krzywdy, głodu, bezrobocia i wojen. Krakowski wykład historii dowiódł, iż stawianie spraw w takiej płaszczyźnie jest oszustwem, jednym z największych oszustw, jakie chce upadający świat zgotować ludziom i narodom.

Tę koncepcję, głoszącą, że istnieje jakaś solidarność celów między prostym, wierzącym człowiekiem w Polsce, a panem Morganem czy Rockefellerem, obalono, pokazując w całej ohydzie ich czynów — miejscowych agenciaków owych wcale nie pobożnych Morganów i Rockefellerów.

Wiara chrześcijańska, katolicka — stwierdzono raz jeszcze — to prawo w Polsce każdego, kto chce wierzyć. Ale sutanna nie będzie — państwo ludowe nie pozwoli na to — jeszcze jednym mundurem armii amerykańskiej.

JAN SZELĄG

PRZYCZYNNIKI DO ŻYCIORYSU „KOCHAJĄCEGO LUDZI CZŁOWIEKA”

ZDARZYŁO się to w pewnej prowincjonalnej osadzie, podczas uroczystości wielkosobotnich. Jedenastoletni ministrant podbechtywany przez koleżków, z niedostatecznym szacunkiem posługiwał się trójramiennym świecznikiem, t.zw. triangualem. W zakrystii było ciasno, chichoty i szepty malców ploszyły skupienie proboszcza, który ubierał się przed rozpoczęciem nabożeństwa. Nagle ksiądz, nie przerywając modlitwy, już w albie i przepasany stulą, podszedł do ministranta z triangualem i ujawszy go jedną ręką za kark, drugą otworzył drzwi wiodące na podwórze kościelne. W następnej sekundzie ministrant zjeżdżał już na siedzeniu po schodach.

W otwartych drzwiach, za masywną postacią księdza, słychać było powstrzymywany śmiech koleżków, którym nie groziły podobne represje.

Po pewnym czasie inny ministrant, nader swawolny, połał z dzwonniccy obchodząc kościół procesję. Przystępstwo to skwitował później proboszcz karcącym ruchem wskazującego palca. I na tym się skończyło, ponieważ miły figlarz był synem prezesa komitetu parafialnego, osoby bardzo poważanej w osadzie.

W tym samym środowisku doszło po kilku latach do nieprzyjemnych ekscesów. Grupa młodzieży któregoś rana wybiła kamieniami szyby plebanii. Zbuntowani synowie drobnomieszczaństwa na szybach proboszczówki demonstrowali swoją nienawiść do moralności, którą karmiono ich od dziecka.

W jednym z artykułów, zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” z dnia 18 lutego 1950 roku, z uwagą czytaliśmy swego czasu:

„Tryb życia prowadził uporządkowany, jednostajny. Można powiedzieć: z zegarkiem w ręku. Od lat codziennie o godz. 9 rano otwierał swoją kancelarię i zasiadał przy biurku, by zalać wiatrak doświadczeń i spraw urzędowych, przyjmować rzeszę interesantów, udzielać rad w sprawach właściwie wszelkiego rodzaju, kierować rozlicznymi agendami kurii. Po przerwie obiadowej, o godz. 3 po południu znów go można było zastać w tej samej kancelarii, ale teraz już samego, jak wystukiwał na maszynie referaty i dekrety kurialne lub sprawdzał i kontrolował buchalterię i administrację instytucji kurialnych, diecezjalnych, kościelnych... Ktoś, kto go nie znał, mógłby powiedzieć o Nim: kurialista, urzędnik, biurokrata, człowiek zagubiony w papierach. Lecz byłby w błędzie. Cóż za potężny duch, coś za dynamizm i jaka inteligencja ożywiały tę pozornie biurową postać!

„...Wiedzieliśmy od dawna, że... jeżeli nieubłagany był w dokładności co do rachunków z grosza publicznego, to tam, gdzie chodziło o Jego prywatne dobro, rękę miał hojną i szczerobliwość bez miary. Nie zostawił też nic po sobie. Wszystko, co zapracował, poszło na cele publiczne, kościelne lub dobroczynne...”

„...Był urodzonym i utalentowanym organizatorem. Nie zasklepiony w teraźniejszości, wyrывał się w przyszłość...”

„...Ale podnosząc Jego oddanie dla biskupa-ordynariusza, którego był prawą ręką w rządzie diecezji, Jego pracowitość, posuniętą aż do zapomnienia o granicach wytrzymałości organizmu, Jego rozmach organizatorski, Jego inteligencję rzadkiej bystrości, nie można pominąć jednego, najbardziej charakterystycznego rysu Jego osoby: żarliwej wiary i serdecznej pobożności, z nich bowiem wyrastał Jego dynamizm, one zrodziły w Nim ducha wyrzeczenia i oddania sprawie Boga i narodu...”

„...Wspomnienie to nie byłoby zupełne, gdybym go nie zakończył paroma słowami o Jego stosunku do „Tygodnika Powszechnego”... Kierował nim wchodząc w szczegóły pracy redakcyjnej i administracyjnej... Bez Jego pracy, bez Jego rad, zaleceń i ojcowiskiej opieki „Tygodnik Powszechny” nie byłby tym, czym jest...”

„...Na zawsze zachowamy prawdziwie świetlane wspomnienie Jego oblicza, które rozjaśniał uśmiech żyjącego Bogiem kapłana i kochającego ludzi człowieka...”

Panegiryk ten został wydrukowany ku czci ks. Stefana Mazanka, kanclerza Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Po trzech latach życiorys ten, pióra ks. Piwowarczyka, został wzbogacony o nowe rysy i szczegóły, o nowe wypowiedzi innych księży, podwładnych księdza kanclerza. Zawierają one, co prawda, mniej pięknych słów, ale trzeba to tłumaczyć oschłością języka sądowego.

Poczytajmy więc sobie zeznania oskarżonych i świadków z procesu krakowskiego.

KS. PRZYBYSZEWSKI: „Ks. Mazanek sprzedawał i kupował waluty obce, przeprowadzał różne transakcje walutowe, na których zarabiał znaczne sumy pieniężne dla kurii... Wiem, że ks. Mazanek Stefan zaraz po wyzwoleniu zaczął skupować obce waluty, kupował i sprzedawał po to, ażeby przez obrót tą walutą zarobić jakąś sumę dla kurii. Wiedziałem, że często przychodzili ludzie, aby sprzedać mu waluty obce. Do tych swoich operacji finansowych używał funduszy kurialnych, które dlatego grupował w swoich rękach...”

PROKURATOR: „Czy te „zdolności bankierskie” ks. Mazanka były znane w kurii?”

KS. PRZYBYSZEWSKI: „Były znane nie tylko w kurii, ale w całej diecezji wszystkim księżom”.

Następnie ks. Przybyszewski wyjaśnia, że ks. Mazanek nie prowadził żadnej rachunkowości

PROKURATOR: „Tak, że nie było można ustalić, ile pieniędzy kuria winna posiadać w wyniku tych wszystkich operacji?”

KS. PRZYBYSZEWSKI: „Nie można było, bo żadnych zapisków nie było”.

Tyle, jeśli chodzi o „dynamizm, inteligencję” oraz „dokładność co do rachunków z grosza publicznego” ks. Mazanka. Ks. Przybyszewski śpieszy też z wyjaśnieniem przyczyn popularności kanclerza kurii: „Ks. Mazanek wyjeżdżając za granicę, będąc w Rzymie otrzymywał tam od Polaków, mieszkających na terenie Włoch, listy wraz z dolarami, ażeby po powrocie doreczyć je rodzinom, zamieszkałym w Polsce. Wiem, że spora część listów przywieziona z zagranicy nie została doreczona”.

A oto list jednego z tych ludzi prostych, którzy na własnej skórze doświadczyli „szczudrobliwości bez miary”:

„16 grudnia 1947 roku. Przewielebny księże kanclerzu, będąc na terenie Italii, jako żołnierz polski, przesłałem list z dnia 24 lutego 1946 roku z zawartością 20 dolarów z miasta Ancony do Rzymu na ręce przewielebnego księdza kanclerza, z prośbą o doreczenie do rąk mojego teścia Jaskuńskiego Józefa... Dnia 30 maja roku bieżącego powróciłem zza granicy do Polski, do rodziny, gdzie oczekiwałem do dnia dzisiejszego nadesłania pieniędzy, lecz bezskutecznie”.

Niezbyt ściśle określone przymioty ks. Mazanka, jak: „kochanie ludzi”, „wyrwanie się w przyszłość” konkretyzuje z dużą otwartością ks. KUROWSKI: „Wiadomo mi jest, że kuria utrzymywała stosunki z żywiołami reakcyjnymi w kraju, widziałem sam, jak jakiś pan — jak później dowiedziałem się — pan Popiel, był u księdza Mazanka. Wiem, że bywał na terenie kurii ksiądz Kaczyński, członek t.zw. rządu londyńskiego... Kuria liczyła na zmianę ustroju w drodze konfliktu wojennego... chciała, aby przeciwko Polsce ruszył nowy Wehrmacht”.

Warto też posłuchać słów jednego ze „świeckich” oskarżonych, KOWALIKA: „Na to, że znalazłem się na ławie oskarżonych, wpłynęło może wychowanie, które jest przekleństwem mego życia. Od najmłodszych lat byłem pod wpływem księży, wychowując się w katolickich stowarzyszeniach młodzieży...”

Pierwszą lekcję dobrze już wytartej i elastycznej moralności, którą jedenastoletni ministrant otrzymał w zakrystii prowincjonalnego kościoła, przypomniałem sobie podczas lektury sprawozdań z procesu krakowskiego.

TADEUSZ KONWICKI



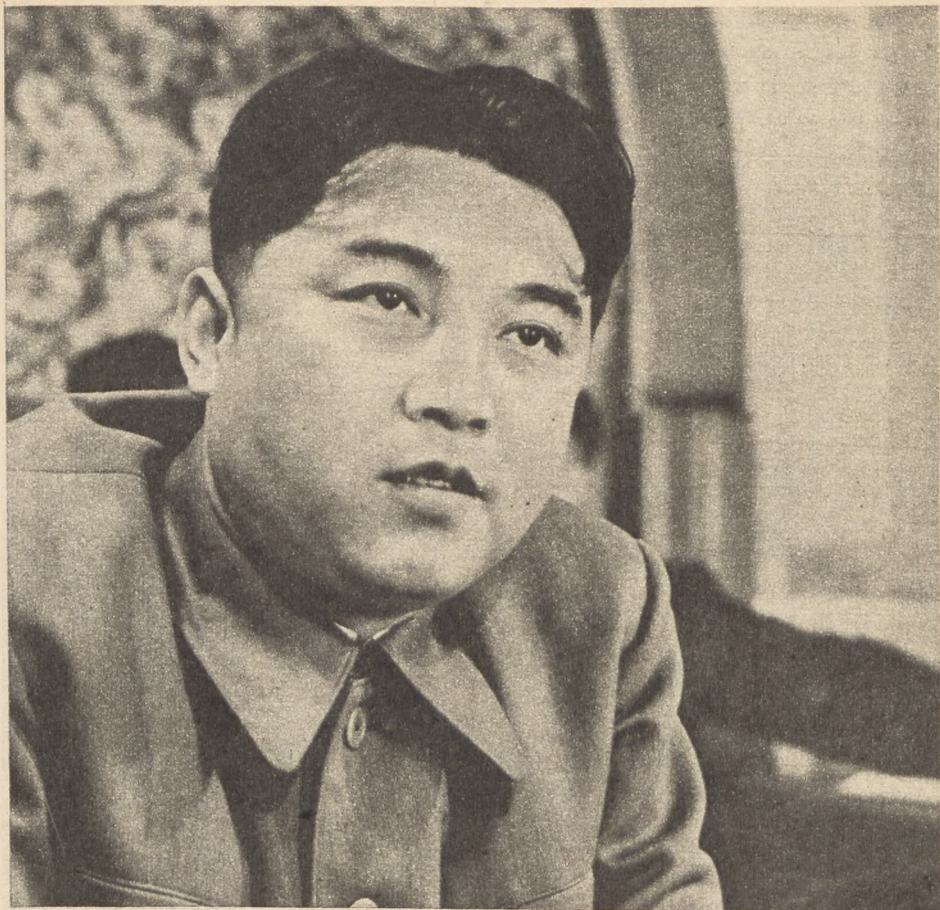
Zmotoryzowana Brygada Koreańska za chwilę wyruszy na front. Będzie to jeszcze jedna zwycięska bitwa żołnierzy,



Koreańska służba sanitarna działa szybko, niezawodnie i ofiarnie: żaden ranny nie pozostaje bez opieki...



którzy idą do walki o świętą sprawę wolności swego kraju. Z niezachwianej wiary w zwycięstwo płynie ich przewaga nad najmitami amerykańskich imperialistów.



Kim Ir Sen jest wodzem bohaterskiego narodu, który nie ugiął się pod zbrodnictwymi ciosami imperializmu i walczyć będzie aż do ostatecznego zwycięstwa.

WŚRÓD KOREAŃSKICH ŻOŁNIERZY

ROK temu, 8 lutego, otrzymałem zaproszenie do N-tego koreańskiego pułku piechoty na uroczysty obchód czwartej rocznicy powstania Koreańskiej Armii Ludowej. Pułk niedawno został wycofany z zachodniego frontu i znajdował się na odpoczynku w miejscowości K. Pojechałem.

Pierwsza część uroczystości odbyła się w dużej hali jakiejś zniszczonej fabryki.

Zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych opowiedział historię Koreańskiej Armii Ludowej, mówił o jej obecnej walce z najazdem amerykańskim. W walce tej pułk okrył się nieśmiertelną chwałą. Jego żołnierze brali udział w ponad 300 bitwach, w których zabili albo wzięli do niewoli ponad 8 tysięcy nieprzyjacielskich żołnierzy, zestrzelili 23 samoloty, zniszczyli lub zdobyli wiele broni i sprzętu wojennego. Dziewięciu żołnierzy pułku otrzymało najzaszczytniejsze tytuły Bohaterów Republiki, a wszyscy pozostali — order i medale. Sam pułk odznaczony został przez Kim Ir Sena orderem Wolności i Niepodległości I klasy.

Żołnierze, słuchając tych słów i gorących oklasków, jakimi przyjmowała je zebrana ludność cywilna, czuli się głęboko wzruszeni. Wzruszenie ich wzrosło jeszcze bardziej, gdy po referacie przyszła kolej na wręczenie im podarków przygotowanych przez miejscową ludność. Znalazły się też drobne upominki z krajów demokracji ludowej, między innymi i z Polski. Były one dla nich widocznym dowodem sympatii, jaką prosili ludzie za granicą darzą ich walkę.

Po wręczeniu podarków miejscowy zespół teatralny wystawił sztukę „Przyjaźń”. Była w niej mowa o tej wielkiej przyjaźni, jaką w ciężkich dniach wojny złączyła naród koreański i jego armię

z bohaterskimi ochotnikami chińskimi. Tę część uroczystości zakończyło wyświetlenie filmu radzieckiego „Upadek Berlina”.

Wieczorem odwiedziłem żołnierzy 4 kompanii. Po wspólnej kolacji ktoś zaczął opowiadać, jak to było 8 lutego 1951 roku. Popłynęły żołnierskie wspomnienia...

Właśnie rok temu kompania toczyła zacięty bój o górę Tedogsan. Kompanią dowodził wówczas porucznik Jun Mun Son, który we wcześniejszych walkach o górę Surisan poprowadził trzynastu żołnierzy do brawurowego ataku na wzgórze bronione przez całą amerykańską kompanię. — Co to był za dowódca! — opowiadał jakiś żołnierz.

— Zmienialiśmy raz pozycje. Na miejsce dotarliśmy w nocy. Po urządzeniu stanowisk część żołnierzy pozostała na posterunkach, reszta położyła się spać w ziemiankach. Ja znalazłem się wśród odpoczywających, ale nie mogłem jakoś zasnąć. Leżę sobie z zamkniętymi oczyma i naraż słyżę, że ktoś ostrożnie wchodzi do ziemianki. Otwieram jedno oko i widzę dowódcę. Świeci sobie latarką elektryczną i uważnie patrzy na nas. Zobaczył, że jestem częściowo odkryty i zapewne myślał, że odkryłem się we śnie, pochylił się i nakrył mnie z powrotem. I wyszedł. A mnie jakby coś za serce chwyciło. Tak robiła tylko moja matka, kiedy byłem w domu.

Nadszedł 8 lutego 1951 r. Pułk nacierał. Amerykanie stawiali zacięty opór. Najzacieklejsze walki wywiązały się o wzgórze Tedogsan. Nieprzyjaciół umocnił je gęsta sieć punktów oporu silnie nasyconych środkami ogniowymi. Wzgórza broniły ponadto liczne przeszkody z drutów kolczastych i przewody o wysokim napięciu, a całą obronę jak zwykle wspierały duże siły lotnictwa, czołgów i artylerii.

Czwarta kompania miała atakować wzgórze od czoła. W tym samym czasie inne oddziały pułku miały obejść wzgórze i uderzyć na nie z boków i tyłu.

Zagrały baterie pułkowej artylerii, wspierającej natarcie. Kompania gotowała się do ataku. Naraz gdzieś z tyłu

wzbiła się do góry zielona raketa. Porucznik Jun Mun Son pistoletem wskazał wzgórze i donośnym głosem zawołał: „Naprzód!” Żołnierze wyskoczyli z okopów. Powiała ich ulewa ognia i żelaza. To amerykańska artyleria i piechota usiłowały w ten sposób przegwoździć atak do ziemi. Na próżno. W sercach atakujących żołnierzy żyło w tej chwili jedno tylko pragnienie: jak najprędzej dopaść wroga i bić go za splugawioną przez niego ziemię ojczyzny, za pomordowane rodziny, za spalone miasta i wsie. Dopadli pierwszych przeszkód broniących podejścia do pozycji wroga, pokonali je i zaczęli czołgać się do góry. Cała siła ognia jednostek amerykańskich została teraz skierowana przeciwko nacierającej kompanii. Żołnierze czołgali się jednak dalej. Razem z nimi czołgał się dowódca kompanii. Naraz tuż obok niego rozerwał się nieprzyjacielski pocisk. Porucznik Jun Mun Son przywarł twarzą do ziemi. Najbliżsi żołnierze podczołgali się do niego i widzą, że pocisk zmiażdżył mu lewą nogę, poranił twarz, szyję i klatkę piersiową. Żołnierze zaciskają zęby, aby nie krzyczeć z żalu i gniewu. Jak można najostrożniej układają nieprzytomnego dowódcę na noszach i chcą wynieść go do tyłu. Wtem ranny otwiera oczy. Natychmiast odgadł zamiar żołnierzy i mówi do nich słabym, przerywanym głosem: „Zabraniam wam wynosić mnie z pola walki... już mi lepiej... mogę dalej dowodzić... idźcie za kompanią, pomóżcie towarzyszącom...”. Ale przecenił swe siły. Zaledwie skończył, zapadł w ponowne omdlenie. Żołnierze chwycili noże i pośpiesznie wycofują się.

Kompania w tym czasie dopadła wroga, ale po zniszczeniu kilkunastu jego punktów ogniowych również musiała się cofnąć. Nieprzyjaciół kilkakrotnie większymi siłami kontratakował z bo-

ków, grożąc odcięciem i zniszczeniem całego pododdziału. Widząc to, żołnierze niosący dowódcę przyspieszają kroku. Ale ten po raz drugi otwiera oczy. Jest przytomny. Poznał żołnierza Czang Bok Soka i przywołuje go do siebie. Żołnierz pochyła się nad noszami. — Czang — ledwie dosłyszalnie mówi dowódca — idźmy naprzód czy też cofamy się? Czang zawałał się. Ale tylko na ułamek sekundy. Potem patrząc mu w oczy powiedział pewnie: „Idźmy naprzód, towarzyszu poruczniku!” Błądą twarz dowódcy rozjaśnił uśmiech. — Niech żyje Partia i Republika Ludowa! — wyszeptał ostatkiem sił i znieruchomiał. Umarł z uśmiechem na ustach.

Właściwie Czang nie okłamał umierającego dowódcę. Kłedy bowiem Amerykanie skoncentrowali się dla odparcia atakującej kompanii, pozostałe oddziały pułku zgodnie z planem obeszły wzgórze i zaatakowały wroga od tyłu. Żołnierze 4 kompanii mszcząc się za swego ukochanego dowódcę znów poszli naprzód. Jak wicher przebyli przestrzeń dzielącą ich od wroga, jeszcze raz wdarli się na jego pozycje, bagnietami zmusili do ucieczki amerykańską piechotę i wzgórze opanowali. Kompania wykonała swoje bojowe zadanie. Porucznik Jun Mun Son pośmiertnie otrzymał najwyższe bojowe odznaczenie — tytuł Bohatera Republiki.

Tego samego dnia wieczorem na front przybyła delegacja chłopów z najbliższych okolic. Przyszli, nie zważając na gęsty ogień nieprzyjaciela. Przyjętym zwyczajem przynieśli ze sobą święteczne podarki dla żołnierzy. Były one bardzo ubogie i skromne, ale płynęły z serca, wyrażały uczucia gorącej miłości, jaką lud koreański darzy swoich żołnierzy, nie szczędzących krwi i życia w obronie jego wolności.

LUCJAN PRACKI



Roku od narodzenia jego 500



PORTRET I AUTOGRAF MIKOŁAJA REJA.

W ODWIEDZINACH U MIKOŁAJA REJA

Napisała: JULIA HARTWIG

NIE jest sprawą przypadku, że pośród rocznic, obchodzonych uroczyscie przez wszystkie narody świata na wniosek Światowej Rady Pokoju, znaleźli się wielcy mistrzowie doby Renesansu. W roku ubiegłym obchodziliśmy pamięć genialnego Toskańczyka ze wsi Vinci, w tym roku pobiegniemy myślą do miasteczka Chinon nad rozlewną Loarą, skąd rozbrzmiewał na Francję i świat cały gromki śmiech autora opowieści o Gargantui, śmiech, od którego zadrzały ośle uszy (asinus asinorum) średniowiecznych bakalarzy.

Nie przespałimy i my w Polsce pięknej okazji, by sięgnąć do epoki pierwszego największego w życiu ludzkości przełomu i by z bogatego skarbcza renesansowych klejnotów wydobyć te, które kute były i obrabiane na nasz własny, narodowy sposób: w lecie ubiegłego roku zjechali się na wesołe Sobótki jubileuszowe do Czarnolasu ludzie z różnych stron kraju. Tego samego lata historycy sztuki urządzili w Kielcach zjazd poświęcony polskiej sztuce renesansowej; obrady kontynuowano w zimie tego roku w Krakowie. Rok 1953 stanie się, również z inicjatywy Rady Pokoju, rokiem obchodów kopernikowskich.

Jakże w podobnych okolicznościach nie sięgnąć do Mikolaja Reja, ćwiartowanego, siekanego, to znów głaskanego na przemianę przez historyków literatury, któremu jednak wszyscy, jedni z entuzjazmem, inni z lekkim dąsem, przyznają honorowe miano „ojca polskiej literatury”. Jakże go nie uczcić podczas tego roku renesansowych wspomnień? Jak nie zaprosić do suto zastawionego stołu — Reja rubachy, Reja żarłoka i dowcipnisia i Reja nowinkarza i gromiciela nadużyć kościelnych i obywatelskich, społecznego moralizatora i wesołego kompana? A kiedy już będzie z nami, nie spodziewajmy się po nim humanistycznej oglądy padewczyka Kochanowskiego i jego znakomitych przyjaciół, ani ukształconego żartu biesiadników z Rzeczypospolitej Babiniskiej. Pamiętajmy jednak zarazem, że to przecież nikt inny, tylko on, za BERNATEM z Lublina, utorował im drogę do przestronnych alej potocznej polskiej mowy, która nabrała takiej elegancji i lekkości u piewcy Urszuli,

że sędziwy już wówczas Rej miał uchylić przed nim głowy i przekazać Kochanowskiemu symboliczny wieniec wieszczarodowego.

Nim jednak nadeszła ta chwila — strofa Reja, toporna nieco, lecz z prawdziwego kruszcu polskiej mowy ukladana, a zwłaszcza jego proza, malownicza, dosadna i bogatsza w słownictwie niż czarnoleskie zasoby — uczy, bawi i budzi zachwyty współczesnych. Średniego szlachcica cieszy brak napuszoności, bezpośredniość i to za-pan-brat poety z czytelnikiem, którego koleje życia nieraz bliźniaczo przypominają biografię Mikolaja z Nagłowic:

„Bom ja też prosty Polak: nigdzie nie jeżdżając

Tum się paś na dziedzinie jako
w lecie zając“.

Stawiany przez Reja ideał człowieka pocziwego nie wymagał zbyt wielkich wyrzeczeń od przeciętnego szlachcica tej doby: zachwała mu się wygodą i pożytki domowe, uroki ziemiańskiego dosty i zamożności. „Pójdę do skrzyni: wedle mego stanu wszystkiego dosyć. Pójdę do stajni: wedle mej potrzeby koni dosyć. Pójdę do kuchni: wszystkiego dosyć”. Przestrzega jednak Rej przed sobkostwem i prywatą, gani zbytki i ucisk chłopów. I w tym jego zasługa, że choć nie tak dogłębnie jak Modrzewski czy Orzechowski zajmował się planami poprawy Rzeczypospolitej — to jednak wraz z najszlachetniejszymi swojej epoki nawoływał do ograniczenia nadużyć swego stanu i do większej dbałości o powszechne dobro. Nie brak rysów dydaktycznych w „Krótkiej rozprawie między panem, wójtem i plebanem”, tak chwalonej przez Orzechowskiego, roi się od wskazań moralnych w „Zwierciadle”, dziele sędziwego już wieszczar, tak pod koniec życia szanowanego przez brać szlachecką, że kiedy wchodził na cudze polskoje — wszyscy obecni wstawali. I nieraz na sejmikach szlacheckich cytowano „złote myśli” poety, przepojone szlachetną troską o wspólne losy i umiłowanie ojczyzny: „Rzeczpospolita nie jednej osobie jest powierzona, tej życzyć więcej niżli sobie”. „A zaprawdę jako Pan Bóg raczy, mało ich widać, aby z prawej chuci opatrowali doległości tej matki świętej, Rzeczypospolitej jedno albo dla pożytków swych, albo z majętności jakiej, albo z pochlebstwa”. Nie zapomni mu tych zasług i potomność.

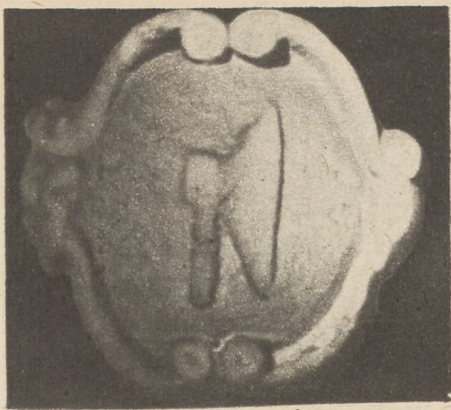
„A MIŁY WÓJCIE, WSZAK
TO WIELKA WIEŚ...”

Nagłowice, wieś, której herbem pisał się Mikolaj Rej, leży w odległości 15 kilometrów od Jędrzejowa. Można tam dojechać autobusem PKS albo co dzień kursującym samochodem pocztowym.

Zaczęło się już dobrze zmierzchać, kiedy przed tygodniem, w sobotę, wysiedliśmy z autobusu na przystanku nagłowickim. W prawo droga, na wprost droga, wszędzie białe i śnieżne; rzędy chałup i domków, grupki rozmawiających ludzi, ruch między pocztą i piętrowym, okazałym budynkiem miejscowej Rady Narodowej, a wewnątrz, u przewodniczącego Rady tłok jak w miejskim biurze. Trochęśmy się innych Nagłowic spodziewali: cichych, sielskich, zaściankowych, ku tamtym czasom jeszcze zwróconych chałupami, pełnych aluzji do Rejowej twórczości. Jechaliśmy do tych Nagłowic na ślepo, na niespodziane, godziliśmy się z góry na to, co nam ta wyprawa przyniesie. Przyniosła odwiedzin w nagłowickim Domu Dziecka, prowadzonym przez najmłodszą w Polsce, bo 23-letnią kierowniczkę, przyniosła spotkanie z miejscowymi



W nagłowickim parku, wśród czterechsetletnich dębów, bawią się mieszkańcy Domu Dziecka.



Herb Andrzeja Reja, syna Mikolaja

udział w konkursie krzewienia czytelnictwa. Jedenaście procent mieszkańców gminy należy do stałych abonentów biblioteki. Czterdziestu jeden stałych korzystających z biblioteki z gromady nagłowickiej — to byli analfabeci.

„A tak jeśli umiesz czytać, azaż to nie rozkosz też, czas sobie upatrzysz, nad książkami posiedzieć...”

„POTEM, GDY JUŻ DO DOMU PRZYJEDZIESZ...”

Szukaliśmy pilnie miejsc, po których stapały Rejowe nogi. Szukaliśmy miejsca, gdzie niegdyś mógł stać dom rymopisa. Miejscowa opinia zgodna jest co do jednego: że stał on nie w tym miejscu, gdzie dziś wznosi się pałac. Nie jest w tym prawdy — nie wiadomo. Dość, że w wyobrażeniu dzisiejszych nagłowiczian Rej zamieszkiwał gdzieś w pobliżu cienistych dębów, a dla potwierdzenia swoich domysłów pokazywali nawet niektórzy jakieś szczyrby wystające jakoby z dawnych fundamentów.

W ścianie nowego pałacu miał być jakoby wmurowany jakiś herb starożytny, ale go wydobyto i zawieziono do kieleckiego muzeum. Można by to za następnym pobytom w Kiełcach sprawdzić.

Tymczasem po Rejowym parku uganiam się i bije śnieżkami w pogodny zimowy dzień grono dzieci z Domu Dziecka. Jest ich sto dwadzieścioro. Od trzech do szesnastu lat, czyli od „maluchów” do „dużych”. Dzieci mieszkające w tym domu to najczęściej sieroty i półsieroty wojenne. „Maluchy” mają przedszkole w domu, większe, w wieku „poborowym”, chodzą do szkoły z innymi dziećmi z Nagłowic.

Droga wiodąca z parku do Domu Kultury prowadzi dalej, przez pole i las, aż ku Oksy, ku miasteczku, które niegdyś, podobnie jak Rejowiec, założył Rej. Rejowiec lepiej się panu Rejowi udał jako młoda miejska szczyplonka: dawne małe miasteczko rozrosło się dziś, nabrało znaczenia; Oksa została tylko malowniczą osadą z zabytkowym kościołem i jej „życie towarzyskie” ogranicza się do sąsiedzkich stosunków z Nagłowicami.

Stosunki te zacieśniają się zresztą coraz bardziej od chwili założenia Domu Kultury w Nagłowicach. Trudno co prawda chodzić pięć kilometrów na ping-ponga czy lekcje rosyjskiego, ale nie można pominąć wspólnych prób chóru. Kieleccy ludzie lubią śpiewać jak mało kto, a nagłowiccy nie mniej od innych z Kieleckiego. Rzucili się też hurmem do śpiewania, nie musi ich zapraszać ani kierownik świetlicy, ani kierownik chóru. Znalazło się nawet kilku zdolnych solistów. Widzieliśmy, jak nawet zbierał się przed południem w niedzielę chór i zespół orkiestry. Rozpoznałam wśród członków orkiestry bibliotekarza, leśniczego, wice-przewodniczącego gminy. Wyglądali przy swoich instrumentach inaczej niż poprzedniego dnia, stroili je w milczeniu i byli uroczyści. Zmieniają sobie ludzkie życie, a stają się świetniejsi — myślało się patrząc na nich. Siedzieliby może teraz w karczmie, gdyby nie ten dom, a teraz siedzą w świetlicy. Jak to mówileś, panie Reju? „Bo możesz ty sobie bez wszetecznego opilstwa albo nikczemnej biesiady zachowanie uczynić... podskokiem... lutenką, a najwięcej wdzięcznymi rozmowami, gdy im to będziesz powiadał o czym nie słychali, albo też im okazywał, czego nie widali, albo też czasem im czytał, o czym pinwiej nie wiedzieli; bo są to wdzięczne przysmaki u ludzi, a przyrodzenie się w tym każde kocha, kiedy co nowego widzi albo słyszy”.

Wyjeżdżamy już pod wieczór, a że robimy to najpóźniej jak można, przepuszczamy i PKS i pocztę. Czeką nas przeprawa do Jędrzejowa sankami. Stary to sposób podróżowania i pan Rej nie musiał nim gardzić. Pola już pod śniegiem, raz po raz spotykamy stada kuropatw śmiałych w tej porze roku jak domowe ptactwo, w oknach, często jeszcze pod strzechą, rozbiyskują żółte światła. Gdyby tak stanąć na tym wzgórzu na prawo, można by objąć całą nagłowicką krainę, równą, ale leśną i urozmaiconą, którą zamyka od Oksy przemarznięta teraz i szklista girlanda bogatych w ryby stawów.



W tym miejscu stał niegdyś dwór rodziny Rejów. Stare dęby pamiętają być może czasy wielkiego rymopisa, który wszedł na zawsze do literatury polskiej.

działaczami oświatowymi w Domu Kultury, przyniosła rozmowy z ludźmi młodymi i najstarszymi w Nagłowicach, takimi, co służyli jeszcze u ostatniego „pana na Nagłowicach”, Radziwiła, urządzającego w pięknych miejscowych lasach polowania z dostojnikami Trzeciej Rzeszy. Pusty i aż zbyt dokładnie opisany światek ziemianńskiego życia za sanacji, wskrzesiły dla nas opowieści prostych ludzi z Nagłowic. Tutejsza przedwojenna wieś, położona co prawda niedaleko od miasta, ale przegrodzona od niego, zdawało się na wielki, ponurymi zasiekami bezrobocia, skazana na niezmienną swego wiejskiego losu i brak perspektywy — ciągnęła swój żywot z dnia na dzień, w gęstym zaduchu dworskiej plotki i sąsiedzkiego utyskiwania. Nikt poza ogrodnikiem, ogrodniczkiem i zatrudnianą czasem przy porządkach czeladzią nie widywał pięknego nagłowickiego ogrodu z gracowanymi ścieżkami, a czterechsetletnie dęby Rejowe podziwiała wieś tylko od czubów, tyle, co wystaje zza kamiennego muru. Komu mogły być w głowie te czasy, kiedy do nagłowickiego dworku zjeżdżali sąsiedzi do pana Mikolaja i jego żony Zofii?

Rej osiadł w Nagłowicach już w wieku dojrzałym, po okresie bujnej i swobodnej młodości, spędzonej w rodzinnym Żorawnie na Rusi, po szkołach i po naukach w krakowskiej Alma Mater. Przede wszystkim zaś po pobycie na dworze sandomierskim wojewody Tęczyńskiego, gdzie więcej się nasłuchiwał, nazywał i mądrości najadł, niż inni przez długie lata dukania. Tam też nauczył się obracać między ludźmi i poznał obyczaj różnych stanów, tak żywo później i wyraziście odmalowany w jego książkach.

„AZAŻ TO NIE ROZKOSZ... NAD KSIĄŻKAMI POSIEDZIEĆ...”

Poza wyjazdami na sejmy i za sprawami nowej zreformowanej wiary „antypapistowskiej”, którą tak gorąco się zajął — częste i ochotne podróże odbywał Rej do Krakowa. Ciągnął go tam nie tyle gwar miejski i zasobne Sukienice, co pewien warsztat hałaśliwy, a szacowny, dostojna nowość czasów Renesansu: oficyna drukarska. U Łazarza, u Florianowej Unglerowej, to znów u Szarfenberga wkładano pod prasy jego „Psalmy”, „Rozprawę” i „Żywot”. Z oficyny Wierzbiety wyszło pięknie zdobione rycinami „Zwierciadło”, a kalwińska „Postylla” pobiła rekord wydawniczy owych czasów, ukazując się w pięciu wydaniach podczas jednego tylko wieku szesnastego. W ten sposób pan Mikolaj okazał się bestsellerem swoich czasów i ani się obejrzał, gdy jakiś taki prosty kaznodzieja ruski zaczął się powoływać na autora „Postylli” jako na „światocho Reja”.

Nie tylko Reja-autora ciągnęło do krakowskich drukarzy, ale i Reja-czytelnika. Ściągał ze sobą do domu nowości wydawniczych co się dało, co najlepiej szło w parze z rodzinnymi gustami. Więc „Exemplum” Ostroroga, Pisma Modrzewskiego i Górnickiego, Statuta Przyłuskiego i inne współczesne pisanie.

Dzisiejsza biblioteka nagłowickiego Domu Kultury liczy 2800 tomów, a w najbliższym terenie jest czynnych ponadto dziewięć punktów bibliotecznych. Jakże tam są książki — łatwo odgadnąć: klasycy polscy i obcy, współczesna literatura, proza, wiersze, wydawnictwa popularno-naukowe. Najbardziej poszukiwane są te ostatnie. Wieś, złaźnie na długimi postami wiedzy, pragnie się uczyć. Można było bez obaw, że Nagłowice znajdują się na szarym końcu, wziąć

KLUCZ DO TAJEMNIC CHEMII



Dymitr Mendelejew.

LATEM 1867 roku objął katedrę chemii ogólnej na uniwersytecie w Petersburgu młody, 33-letni naukowiec, profesor Mendelejew.

Wykłady rozpoczął we wrześniu. Cieszyły się one ogromnym zainteresowaniem studentów. Przychodzili nie tylko chemicy — na wykładach Mendelejewa można było spotkać historyków, medyków, prawników, a nawet słuchaczy z innych uczelni. Przejścia między ławkami były zapelnione, nawet w korytarzu tłoczyli się ciekawscy.

Kierownictwo uczelni również wyrażało się przychylnie o wykładach Mendelejewa, z uznaniem mówiono o nich w kołach naukowców. Jedną tylko osobą była z tych wykładów całkowicie niezadowolona — sam Mendelejew.

W POGONI ZA PORZĄDKIEM

W połowie ubiegłego stulecia chemicy znali już ponad 50 różnych pierwiastków chemicznych. Opisywali ich prawa i własności, badali związki, jakie tworzą, metody ich otrzymywania itd. Wykładowcy chemii rozporządzali coraz większym zasobem wiedzy, coraz większą ilością danych o występujących na ziemi ciałach.

To było pocieszające. Ale niepokoiło co innego: dlaczego platyna może leżeć w ziemi setki tysięcy lat i nie zmienić się zupełnie, a gaz fluor zamknięty w szklanym naczyniu potrafi w ciągu kilku minut przeżreć ścianki? Dlaczego krzem i węgiel w wielu wypadkach są bardzo do siebie podobne, a azot i chlor mocno się między sobą różnią?

Niewiadomo było, jak te pierwiastki zgrupować, uporządkować, w jakiej kolejności je ustawić. Niektórzy chemicy zaczęli opis pierwiastków od wodoru, który jest najlżejszy, inni od tlenu, bo najpospolitszy. Nikt nie mógł powiedzieć, ile właściwie tych pierwiastków istnieje. Od czasu do czasu przybywał jakiś nowy pierwiastek; w roku 1867 znano ich już 63. Trudno było w końcu przewidzieć, czy ich będzie osiemdziesiąt, czy dwieście, czy może jeszcze więcej...

Mendelejew opowiadał studentom interesująco o pierwiastkach, o ich własnościach i związkach — a w głębi duszy czuł przygnębienie: nie mógł słuchaczom przedstawić jasnego obrazu powiązań między pierwiastkami, występującymi w przyrodzie, nie umiał pokazać całego bogactwa ciał chemicznych w postaci jednolitego, zrozumiałego układu. Czuł, że taki układ istnieje, że podobieństwa i różnice między pierwiastkami powtarzają się w jakiś ściśle określony sposób. Znaleźć ten układ — oto było zadanie, które porwało młodego uczonego.

PASJANS Z 63 KART

W domu, na uczelni, w przerwach między zajęciami — Mendelejew godzinami, dniami całymi myślał o tym jednym problemie. Studiował wszystkie istniejące wtedy materiały o pierwiastkach, całą niemal wiedzę na ten temat ogarniał pamięcią. Dla ułatwienia sporządził sobie nawet 63 kartoniki, na których wypisał nazwy pierwiastków i odnotował ich własności — i układał tymi kartkami jak gdyby osobliwe pasjanse. Kładł kartoniki rzędami, porównywał własności pierwiastków, zestawiał razem grupy i rodziny.

I coraz jaśniej stawał przed nim jednolity, logiczny obraz naturalnego układu pierwiastków. Były jeszcze niejasności, istniały wątpliwe punkty, ale sama zasada wydawała się niewątpliwa: układ winien wynikać z podstawowej cechy pierwiastków — z ich ciężaru atomowego.

Kartki notesu, dziesiątki arkuszy papieru pokrywały się drobnym, wyraźnym pismem. Symbole pierwiastków — obok nich rosły ciężary atomowe. Własności pierwiastków powtarzały się w tym układzie periodycznie. Tu trzeba przestawić, tam powstała luka... Tylko nie zagubić się w szczegółach, tylko pamiętać o głównej zasadzie! Zresztą luka, jakie powstawały w układzie Mendelejewa, w kilka lat później znakomicie potwierdziły całkowitą jego słuszość. Ale o tym — później.

W marcu roku 1869 — na posiedzeniu Rosyjskiego Towarzystwa Chemicznego w Petersburgu — chemik N. Mienszutkin odczytał w imieniu chorego wówczas Mendelejewa sprawozdanie o doniosłym odkryciu: o opracowaniu przez Mendelejewa periodycznego układu pierwiastków. Nauka otrzymała nowy oręż w walce o poznanie świata.

Oręż ten został wypróbowany w tysiącach laboratoriów i pracowni. Układ Mendelejewa oddał i oddaje nieocenione usługi badaczom promieniotwórczości i energii atomowej, astronomom i metalurgom, teoretykom w dziedzinie fizyki i chemii, odkrywcom nowych

praw i twórcom nowych maszyn; stał się podstawą nowoczesnej wiedzy chemicznej. Nie do pomyślenia byłaby dziś nauka chemii bez tablicy Mendelejewa, nie do pomyślenia byłoby zrozumienie wielkiej prawdy o materialnej jedności świata bez systemu, który tak niepodobne do siebie substancje powiązał w jedną całość.

ODKRYCIA NA PAPIERZE

W ciągu następnych dwóch lat Mendelejew pracował nad sprawdzaniem ciężaru atomowego znanych wówczas pierwiastków. Dzięki swemu układowi mógł poprawić błędnie wyznaczone ciężary atomowe niektórych pierwiastków, np. uranu, ceru, czy indu. Ale nie to było najważniejsze.

Wspomnieliśmy, że w tablicy swojej Mendelejew zostawił puste miejsca. Nie uważał jednak, że te luki muszą istnieć; twierdził natomiast, że są to miejsca dla nieodkrytych jeszcze pierwiastków. Nie dość na tym: opierając się na danych o sąsiednich pierwiastkach, opracował szczegółowe charakterystyki tych nieznanych jeszcze nikomu ciał. Nowe pierwiastki (ochrzczone tymczasowo nazwami zbliżonymi do „sąsiadów” w tablicy: ekakrzem, ekaglin, ekabor itp.) istniały zatem wtedy tylko na papierze. Niedługo jednak.

20 września roku 1875 odczytano w Paryskiej Akademii list chemika Lecocq de Boisbaudran, który donosił o odkryciu nowego pierwiastka w blendzie cynkowej z kopalni Pierrefitte w Pirenejach. Na cześć swojej ojczyzny nazwał Boisbaudran swój pierwiastek galem. List ten zawierał także pierwsze dane o własnościach nowego pierwiastka.

Gdy w kilka tygodni później Mendelejew przeczytał sprawozdanie z owego posiedzenia Akademii Paryskiej, nie mógł ukryć radości: gal nie mógł być niczym innym, jak przewidzianym i opisanym już przez Mendelejewa ekaglinem. Ale to należało jeszcze sprawdzić. Wkrótce też nadarzyła się po temu okazja.

Lecocq de Boisbaudran po zebraniu dostatecznej ilości czystego galu przystąpił do wyznaczenia ciężaru właściwego nowego pierwiastka. Wkrótce też opublikował tę liczbę: 4,7.

„Pan się z całą pewnością omylił!” — pisał do Francuza Mendelejew. Dziwny był ten spór dwóch uczonych, z których jeden był posiadaczem jedynego w tym czasie zapasu czystego galu, oglądał, badał i ważył go w swym laboratorium — a drugi opierał się tylko na danych swej tablicy.

„Pan się omylił — pisał Mendelejew — gal, czyli ekaglin, musi mieć ciężar właściwy od 5,9 do 6,0. Pański preparat jest widocznie nie dość czysty. Proszę powtórzyć badania”.

Wkrótce nadeszła odpowiedź: „Monsieur Mendelejeff ma całkowitą rację. Ciężar właściwy galu wynosi 5,94”. Sprawa galu była pierwszym wielkim zwycięstwem periodycznego układu. Wkrótce nadeszły i następne.

W roku 1880 Szwed Nilson odkrył nowy pierwiastek, który nazwał — także na cześć ojczystego półwyspu — skandem. Odkrywca znalazł prace Mendelejewa i wkrótce po swym odkryciu mógł napisać: „Nie ma najmniejszych wątpliwości, że skand jest równocześnie ekaborem... To potwierdza w najbardziej pogładowy sposób myśli rosyjskiego chemika...”

NAJBARDZIEJ PRZEKONYWAJĄCY

Wreszcie w roku 1886 niemiecki chemik Winkler odkrył pierwiastek, który nazwał germanem. Wszystko wskazywało na to, że german jest opisanym przez Mendelejewa ekakrzemem. Ale największą sensację wywołało nie samo stwierdzenie tego faktu: setki uczonych ze zdumieniem oglądały tabelkę — zestawienie wyników teoretycznych dociekań Mendelejewa z wynikami najbardziej dokładnych badań laboratoryjnych Winklera. Warto na tę tabelkę rzucić okiem:

	Ekakrzem wg Mendelejewa rok 1870-71	German wg Winklera rok 1886-87
Ciężar atomowy	72	72,06
Ciężar właściwy	5,5	5,47
Ciężar właściwy tlenku	4,7	4,7
Ciężar właściwy chlorku germanu	1,9	1,887
Temperatura wrzenia chlorku germanu około	90°	87°

Winkler badaniami swoimi potwierdzał więc tylko to, co szesnaście lat wcześniej wyliczył chemik rosyjski. Nic dziwnego, że Winkler napisał na temat powyższej

tabelki: „Nie może istnieć bardziej przekonujący dowód słuszności nauki o periodycznym układzie pierwiastków”.

Nazwa tabeli pierwiastków rozślawiła nazwisko Dymitra Mendelejewa na całym świecie. Jednak stosunkowo mało znane są jego wybitne prace w wielu innych dziedzinach nauki.

Mendelejew był bodaj pierwszym uczonym, który należycie ocenił ogromną wartość ropy naftowej nie tylko jako paliwa, ale przede wszystkim jako surowca do przeróbek chemicznych. Do historii przeszedł jego gniewny okrzyk: „Ropa paliwem? Palić można także banknotami!!!”

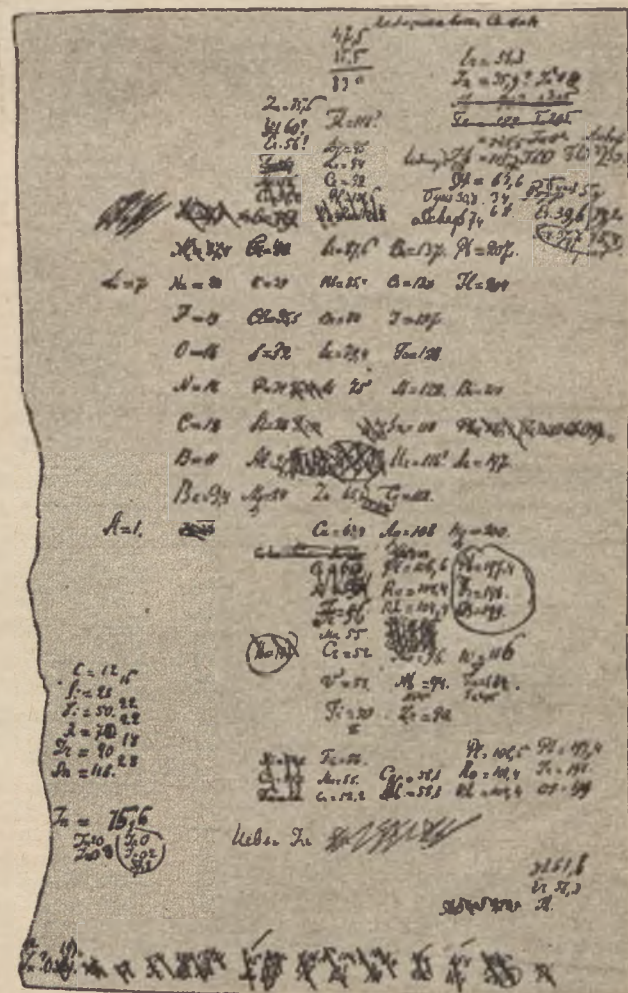
Zasługą Mendelejewa było zwrócenie uwagi na możliwość podziemnej gazyfikacji węgla. Wielki chemik pierwszy na świecie naszkicował przebieg takiej reakcji i opracował zarys potrzebnych do tego celu urządzeń. Jeśli dziś Związek Radziecki zajmuje pod względem podziemnej gazyfikacji węgla przodujące miejsce w świecie — wielka w tym zasługa Mendelejewa i jego uczniów.

W niewielkiej posiadłości swojej prowadził Mendelejew badania i doświadczenia agronomiczne. Propagował gorąco badania nad północnym szlakiem morskim (u p.n. brzegów Azji) i sam kreślił plany łamaczy lodu. Dokonywał też wlotów balonem na znaczne wysokości — dla obserwacji zaćmień i badania atmosfery. Twierdził, że atom można rozbić, tylko innymi, niż chemiczne, środkami. Namawiał do eksploatacji wielkich bogactw węglowych Kuzbassu i Karagandy...

Wielki uczoney nie tylko wysuwał śmiałe plany, ale i uparczywie walczył o ich realizację. Bezsukcesnie jednak: autorytetem naukowca nie potrafił przełamać konserwatywności carskich urzędników i niechęci kapitalistów, którzy nie rozumieli nawet śmiałych myśli Mendelejewa i nie chcieli inwestować kapitałów w pomysły „profesora-fantasty”.

Mendelejew nie dożył nowej epoki — zmarł dziesięć lat przed Rewolucją Październikową. Ale jego zamysły doczekały się urzeczywistnienia: statki oceaniczne na szlakach Dalekiej Północy i ogromne kopalnie Kuzbassu są pięknym pomnikiem twórczej myśli uczonego-patrioty.

EDWARD KARŁOWICZ



Fotokopia jednego z pierwszych szkiców układu periodycznego pierwiastków, odnalezionego przed trzema laty w materiałach archiwum Dymitra Mendelejewa.

IPSZ zlaził wieczorami ze swego łóżka umieszczonego pod samym sufitem. Wołano go: trzeba było przetłumaczyć, co mówi Sawczenko. Sawczenko mówił ciekawie, ale najchętniej śpiewał. Wyciągał się wtedy na sienniku, ręce podkładał pod głowę i oczami wczepiał się w deski sufitu. Nucił pomału; słowa wydawały się Francuzom smutne i tklawe. Prosił odtąd czasami: „Sawczenko, chanson... spiwały, spiwały!”

Majster Schuman (ten sam, który przy przegładzie przydzielił Hipsza do elektryków) siedział w małym, drewnianym kantorku. Wypisywał kwity na zapotrzebowanie drutu lub izolacji i patrzył w brudne okienko. Pewnego dnia wkraczał przechodzący z karabinem koło kantorku usłyszal, że Schuman puka na niego w szybę. Niechętnie zbliżył się do okna. Majster rzekł: „Zawołajcie mi Hipsza. Taki Polak — więzień. Zakłada teraz słupy”. Hipsz stanął w drzwiach. Zachodził tu często, roznosząc kwity na różne odcinki roboty. Schuman tym razem również dał mu kilka różowych papierków. Hipsz położył dłoń na kłameczce. Wtedy Schuman powiedział: „Rosjanie odbili Orzeł”. Patrzył mu prosto w oczy, prawie bez wyrazu, jakby powiedział przed chwilą: „Przynies szklanki izolacyjnej z magazynu”. Potem wstał i zbliżył się do więźnia. Powtórzył: „Rosjanie odbili Orzeł... Weź to, tylko schowaj dobrze”. Wetknął mu w rękę podłużne pudełko papierosów „Juno”.

Tego dnia wieczorem Hipsz usiadł na łóżku Sawczenki. Nachylił się nad nim i powiedział: „Twoi odbili Orzeł... Schuman mówił. I jeszcze, patrz, co dał...”. Wyciągnął ze spodni pudełko. Wybrali ostrożnie dwa papierosy i podawali sobie z ręki do ręki. Był dziwny wieczór w obozie: papieros i myśl o rodakach Sawczenki, którzy niosą im wolność, a światu niosą pokój.

Raz na tydzień przynosił Hipsz z kantorku pudełko z papierosami, a z nim coraz to nowe nazwy dalekich, rosyjskich miast. Któregoś dnia przestali palić „Juno”; majster Schuman znikł z kantorku i więcej go tam nie widziano. Wkrótce schłodził się na same wspomnienie o nim: „świnia komunistyczna!”

Styczeńowy mróz 1945 roku odebrał życie wielu więźniom. Potem dwudziestego ósmego spadła na Gorzów pierwsza bomba. Strażnicy przesiedzieli dzień godzin w betonowym kotłach; ludzie za drutami leżeli na ziemi mokrej od brudnego śniegu zmieszanego ze zwierzem i rudą trawą. Sawczenko podniósł twarz ukrytą w krzakach i powiedział: „Nasze”.

W górze odlatywały na wschód samoloty.

Tego dnia, kiedy wyzwolono Gorzów, Hipsz długo kręcił się po mieście. Chodził również po budowie; oglądał to, co Niemcy chcieli w Gorzowie zbudować i czego nie zbudowali. Wtedy jeszcze nie wiedział, że mu wybito zęby i kazano żuć brukiem dlatego, że IG-Farben dostało nowy patent...

Wyjechał wkrótce do rodziny, do Łodzi. Ale po kilku tygodniach wrócił do Gorzowa. Miasto zastał takie, jakie je opuścił: gruz, rozwalone domy, sterzące palce kominów. Teren fabryki jest daleko z miastem. Z daleka widział już leżący w gruzach jedyny dawniej zbudowany budynek, wypalone baraki i rusztowania przy kotłach. Myślał: „tego się nie da odbudować, tu trzeba dopiero budować”. Kiedy przekroczył bramę, ujrzał wśród stosu żelastwa i poniszczonych, zardzewiałych maszyn, ludzi w kombinazonach. Myślał, że będzie pierwszy: był sześćdziesiąty któryś. Grupa robotników-pionierów samorzutnie przystępowała do odbudowy.

RZYJECHAŁ tam wtedy ślusarz Mozol. Miał siwe włosy i smagłą, opaloną twarz. Deptał po porozwalanym żelastwie, podnosił wysoko nogi, jakby brodził po mokradle. Czasami

kopnął końcem buta wykoszlawiony nastawnik; obejrzał go nie schylając się nawet i szedł dalej. Zobaczył niskiego człowieka, który pochylał się nad kupą popłataną blachy. Blacha dudniła głośno, przewalając się przez złom i zagłuszając kroki. Mozol zapytał: „Obywatel ślusarz, a?” Tamten wypuścił z dłoni blachę, odwrócił się i wtedy Mozol zobaczył okrągłą i łysą, świecą w słońcu głowę, i czarne, rogowe okulary, które powiększały schowane za nimi oczy. Podali sobie ręce. Tamten powiedział: „Tokarz. Lewicki Longin”.

Mozol pokłakił głową, jakby już wszystko wiedział, co chciał wiedzieć o tym człowieku. Naprawdę wiedział już jedno: „niewesoło ci, bracie, stawać do takiej roboty. Tak jak i mnie. Cóż, kupa złomu i żelastwa, to dobre dla centrali odpadków, a nie dla nas — wykwalifikowanych robotników”. Rozeszli się, a na drugi dzień obaj przynieśli narzędzia owinięte w zafuszczone szmatki. Mozol rzekł: „Przyniosłem swoje kłamotoy. Jak robić, to robić, a?”

Co ciągnęło ludzi na tę budowę? Gdyby ktoś wskazywał im palcem i mówił: „patrzcie, to jest wielka budowa — chłuba naszego przemysłu”, szliby ochotczo, urzeczeni patosem rozmachu, wielkością planu, możliwością sławy i zwycięstwa. Ale nikt tak nie mówił. Mówiono po prostu: „trzeba zabezpieczyć teren”. A może właśnie to przyciągało ludzi? Były gruz i popiół, rdza na maszynach i rachitycznie pokrecone narzędzia. Trzeba było usunąć gruz, zmieść popiół, wyczyścić metal i wyprostować narzędzia. Do drzwi powkładać kłamki, załatać dziury w kanalizacyjnych rurach, naprawić gniazda elektryczne. Bo gruzy porastałyby trawą, a żelazo jeszcze grubszą rdzą. Konserwacja była więc niezbędna.

Mozol wysłuchiwał wymówek żony: „Co ciebie trzyma, nie rozumiem. Jakaż to praca?” „Teraz — odpowiadał Mozol — nie idzie się do pracy, ale idzie się budować”. I z tą świadomością przybywało w Gorzowie ludzi. Bohdan Konieczny — ślusarz precyzyjny, mówił do robotników: „Daję wam słowo na moje partyjne sumienie — zostanę tu, aż wyrośnie z tego kombinat”.

Lewicki, od chwili kiedy po raz pierwszy spotkał tu Mozola, codziennie urządzał sobie przechadzki po stertach starego złomu. I jeszcze nigdy nie wrócił z pustymi rękami: zawsze coś potrzebnego przynosił. Tego dnia dwaj młodzi chłopcy — Żukowicz i Kaczor mieli być świadkami, jak Lewicki wróci do warsztatu właśnie z pustymi rękami. Tokarki unieść nie można — to trudno.

Zobaczył ją przykrytą pogniecioną blachą i drutami. Obrabiarka była żółta od rdzy; leżała podstawą do góry ze sterzącymi w niebo przewodami, które wyglądały jak wyprute jelita. Lewicki nachylił się nad maszyną, a kiedy odwrócił się, chłopcy zobaczyli jego duże, niebieskie oczy: były roześmiane. „Obrabiarka” — powiedział i nie przestawał się śmiać. Kaczor podszedł bliżej i dotknął ręką obrotowego koła. Tkwiło mocno. „To była obrabiarka — powiedział — a teraz szmiele, jak wszystko”. Lewicki zamachał rękami; zawsze, kiedy go zdenerwowała, nie wiedział, gdzie podziąć ręce. Krzyknął: „Co ty się na tym znasz. To jest taka obrabiarka, jakiej potrzebujemy! Wielka, kołowa, rozumiesz!”

Na wprost szerokiego, okrągłego kłombu, skąd rozchodziły się asfaltowe drogi na cały teren fabryki, stał jako tako już wyremontowany budynek biura. Był prostokątny, długi, niewysoki, z kwadratowymi oknami. Za oknami siedzieli urzędnicy budowy i nudzili się setnie. Kredyty na budowę przychodziły coraz skromniejsze, zresz-

tą inwestować nie było w co; cała praca to było w rezultacie wypłacanie robotnikom pensji. No, oczywiście — od czasu do czasu jakieś zajęcie dawali im sami robotnicy. Przysyłali wtedy w swoim imieniu Koniecznego. Toteż wszystkie nowinki krążące wokół budowy przychodziły do warsztatów przez Bogdana Koniecznego.

Upłynęły trzy dni od chwili znalezienia obrabiarki. Lewicki zlecił całą bieżącą robotę uczniom, a sam godzinami przesiadywał przy swojej obrabiarence. Wykreślił wszystkie możliwe do wykroczenia części i porozkładał je wokół pustego szkieletu. Wpadł w taki ferwor roboty, że czasami zatracił poczucie rzeczywistości. „Widzisz tu to kółko? — pytał ucznia — leć no zrobić tryby na frezarkę”. Chłopiec zrobił niezdeterminowaną minę; nie był pewny, czy tokarz żartuje. Na wszelki wypadek stwierdził rzeczowo: „Przecież nie mamy frezarki”. „Co, nie mamy? A prawda, nie mamy”. Lewicki sam roześmiał się z tego, ale wesoło mu nie było.

Wszystkie tryby dorobiono ręczną pilką!

Tego dnia Konieczny przyniósł wiadomość, że proces chemiczny, potrzebny do produkcji i uruchomienia ich fabryki, jest dopiero opracowywany przez fachowców w Jeleniej Górze. „Tylko jakoś niesporo im idzie” — dorzucił.

— A co to ma być? Wynalazek?

— Metoda wytwarzania sztucznego włókna.

Szofer Strzelczyk był oburzony: „Ech, to, jak pragnę, ofermi muszą być. To się bierze prawdziwe włókno pod mikroskop i od razu się widzi, z czego się składa”. Konieczny roześmiał się: „Aleście wymyśliłi, no, no! O to chodzi, że... słuchajcie dobrze — włókno robi się z węgla, wody i powietrza. „I powietrza? — parsknął Strzelczyk — opowiedzcie to swojej babci. Z powietrza! Skoro tak, możemy spokojnie czekać, fabryki nie uruchomia”. Wtrącił się Mozol: „A nasza obrabiarka to co? A szyby, kłamki, krany, drzwi, światło, a? Było tu coś jak przyszliśmy? Nic — powietrze. A teraz?”

Po dziesięciu dniach ruszyła obrabiarka Lewickiego. Tryby, których nie dało się ręcznie wyciąć pilką — zastąpiono gwoździem. Sala zatrzęsa się, szyby zaczęły drżeć, a obrabiarka warczała jak czołg.

Takie to były pierwsze sukcesy produkcyjne gorzowskiej załogi. Budowa rosła powoli; kolektyw szybko i burzliwie. Ludzi hartowały trudności, łączyły wspólne zwycięstwa. Tokarnia — to był pierwszy etap; dzień, w którym ją znaleźli wśród arkuszy rdzawej blachy i złomu, zrodził kolektyw. Po raz pierwszy myśleli nie o sobie, ale o wszystkich.

W tym czasie jednak spadła na nich ponura wiadomość: kredytów więcej nie będzie, dalszą odbudowę zawieszają. Tego dnia ludzie nie pracowali. Zbierali się w grupki, ómiali papierosy i rozmawiali. Jeden związły, urzędowy list wystarczył, aby każdy z członków zespołu stał się ślusarzem myślącym tylko o sobie. Trzeba było szukać pracy. Rozmawiano:

— Barski miał nosa, że wymówił.

— Pewnie. Przynajmniej martwić się nie potrzebuje. Pracuje i ma z czego żyć.

— Przyjdzie protekcoji szukać u niego.

Gwar rósł na całą salę; dyskutujący przechodzili z jednej grupy do drugiej, aż wreszcie połączyli się w wielkie wspólne zebranie.

Tymczasem obok, w kantorku, cztery pochylone nad stołem głowy wyprostowały się. Mozol, Lewicki, Lisiecki i Konieczny wstali z miejsc. Radzili krótko. Lewicki wypchnął Koniecznego w stronę drzwi. Konieczny stanął w progu i rozejrzał się po sali. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Koniecznemu serce tłukło się jak pneumatyczny młotek. Wspiął się na palce i krzyknął:

— Towarzysze! Proszę o chwilę uwagi!

Odwrócili się tylko najbliżsi stojący. Rozmowy trwały dalej.

— Towarzysze! — wrzasnął z mocą Konieczny — Trzeba się wspólnie zastanowić, a nie siał pilki.

Uciszyło się; ktoś krzyknął: „Jaka tam pilka. Roboty szukamy!” Konieczny zaczął:

— Robiliśmy tutaj prawie rok. Konserwacja jeszcze nie jest skończona. A



Przy odbudowie zakładów od początku pracował spawacz Kaczmarek.

teraz, jak odejdziemy, znów to wszystko rozgrabią, poniszczą. Straż nie upilnuje takiego terenu. Cała nasza praca poszłaby na marne! I tyle państwowych pieniędzy! Nasze koło partyjne wysuwa pewien pomysł. Zastanówcie się, towarzysze, nad nim. Zostaniemy tutaj i będziemy brali roboty dla innych. Z tego będziemy się utrzymywać. A na pewno nasza robota przyda się niedługo uczonym, którzy tam, w Jeleniej Górze pracują nad wielkimi doświadczeniami. Oni, towarzysze, chcą wynaleźć sztuczne włókno, aby uniezależnić nas od kapitalistów, abyśmy mieli piękne wyroby, aby nasi lekarze mieli trwałe nici chirurgiczne. Ja myślę, towarzysze... że my zostaniemy...

Tak odbyła się pierwsza, przez nikogo nie zwolowana narada produkcyjna w gorzowskiej fabryce. Wysłali pismo do Warszawy: zgodzono się.

Urzędnicy ziewali przy biurkach i pisali podania o zwolnienie. Nudziło się, kto wie czy w ogóle coś wynajdą, a wtedy szukaj człowieku nowej posady. W warsztatach, w takich chwilach uczniowie patrzyli w oczy starych majstrów. Mozol widział czasami powątpiewanie w oczach ludzi. Mówił wtedy: „Rób, rób człowiecze. Co myślisz? Tam w Jeleniej Górze ludzie pracują, a? A jak pracują, to wymyślą”.

JELENIEJ GÓRZE wiele nocy nie przespano w tym czasie. Inżynierowie siedzieli w dawnych laboratoriach firmy Phriegs i szukali wyjścia. Polsce potrzebne było sztuczne włókno. Potrzeba było pończoch, włókno zastępowało skórę w pasach transmisyjnych, wzmacniało welny, można było z niego robić nici chirurgiczne, zastąpić róg, tkąć najtrwalsze tkaniny.

Grupa uczonych i inżynierów przyjechała tu w tym czasie, kiedy z pociągu w Gorzowie wyskoczył na peron Władysław Mozol. Inżynierowie mieli książki i dobre chęci. Ale z połączenia tych dwóch elementów nie chciało wyjść włókno syntetyczne. Do tego trzeba było dodać kilkadziesiąt nieprzespanych nocy i wiele tysięcy doświadczeń.

Praca była matematycznym zadaniem o dwóch niewiadomych: nie znano ani sposobu wytwarzania syntetycznego włókna, ani metody produkcji — technologii.

Z pierwszym zadaniem poszło stosunkowo szybko: sposób otrzymywania sztucznego włókna z węgla, wody i powietrza został wynaleziony. Z metodą produkcyjną sprawa gmatwała się. Niepowodzenia raz dopingowały ludzi, raz odbierały entuzjazm.

To samo, co bez trudu otrzymywano w laboratoriach, w normalnej, fabrycznej produkcji było kruche, słabe, nic nie warte. W skali ówiercechnicznej, w małych, szklanych rurkach włókno wychodziło dobre; w większych próbach przypominało trwałością siano.

Tak upłynęły dwa lata. Niemiecki majster Lies w pierwszych latach prób mówił do inżynierów:

— Myśmy tu mieli takiego inżyniera

NIEBIESKI ZESZYT

KUCHENNYM WEJŚCIEM

Moi przyjaciele używają sobie na mój temat. — Ten Adolf — powiadają — najpierw napisał jedną książkę o miasteczku polskim, które się nazywa Kazimierz Dolny, potem napisał drugą książkę o miasteczku polskim, które się nazywa Kazimierz Dolny, a teraz pisze trzecią książkę o miasteczku polskim, które się nazywa itd. W tej złośliwości mieści się tylko jedna trzecia prawdy, bo, jak dotąd, napisałem tylko jedną książkę o miasteczku polskim, które się nazywa itd., i chwilowo nie piszę nowej. Niestety, w książce tej nie znajduję nic z tego, co kocham w Kazimierzu, ani pejzażu, ani ludzi; rokrocznie stwierdzam to z bólem. Nieudane książki są dlatego tak dokuczliwe, że „stoja“, trwają, podczas, gdy wszystko inne mija, wszystko zasnuwa gęsta pokrywa czasu. Nie posiadam w owym czasie, gdy pisałem książkę o Kazimierzu, (i dotąd nie posiadam), głównej cnoty artysty: skromności. Nie podłożyłem się pod temat, nie wygrzałem go jak kura własnym ciepłem. Pisarze, piszcie o Kazimierzu, który zasługuje i na książkę i na tekę malarską! Od wieków trwa zainteresowanie miasteczkiem, od przeszło pół wieku malarze obmalowują je z wszystkich stron, ale teki malarskiej nie było i nie ma. Tradycja polska to pajączynka, i młodzi malarze, którzy przyjeżdżają do Kazimierza, chodzą jak po lesie, w uszach dźwięczą im dzwoneczki, ale nie wiedzą skąd, jakie. W zeszłym roku pod farą usłyszałem od malarki: dwaj malarze malowali Kazimierz — Michalski i Pruszyński. Ręce mi opadły, gdyż nigdy o takich malarzach nie słyszałem. Z jednej strony młodzi wiedzą o nie istniejących Michalskim i Pruszyńskim, a z drugiej strony starzy malarze — antykazimierzanie — twierdzą, że za nic nie pojadą do Kazimierza, że gdy stają przed jakimś motywem — odrzuca ich, w ich pamięci naraz odżywa dwadzieścia kiczów. „Żli malarze — mówią — zmarnowali Kazimierz“. Przed dwoma laty pewna sława jednego sezonu (w ciągu jednego sezonu można dość krwi napsuć ludziom), laureat, profesor Akademii, zakrzykiwał swoich uczniów, że pejzaż kazimierski jest niepolSKI, nietypowy. Dzisiaj malarzynie bas nieco spadł. Kazimierz wciąż budzi pasję pisarzy, malarzy. Im prędzej ukaże się teka malarska, tym lepiej. Podwójnie daje, kto od razu daje.

2.

Książkę o Kazimierzu napisałem jeszcze przed wojną; potem przez dziesięć lat nie widziałem miasteczka, zobaczyłem je dopiero w 1948; wrażenie było mocne. Choć wojnę spędziłem w kraju i w oczach miałem dosyć ruin, a w sercu dosyć zwłok — przycisnęło mnie. Podobnie jak cały kraj, również Kazimierz miał swoje ruiny i swoich zabitych. Kazimierz jest mały, a małe miejscowości podają ostrzej zarówno swe radości, jak swe bóle.

Zamieszkałem w jednym hoteliku, który, podobnie jak przed wojną, nadal należał do pani N. Pewnego ranka, wychodząc „z numeru“, natknąłem się na rybaka, u którego przed wojną latem wynajmowałem izbę. Dowiedział się, że przyjechałem i czekał na mnie. Na pytanie, dlaczego nie zaszedł do mnie do pokoju, odpowiedział, że póki żyje, nie był jeszcze ani w hotelu, ani w restauracji, która także należała do pani N. „Ryby zanoszę do kuchni i tam dają mi pieniądze“. Po trzech latach Polski Ludowej słowa o kuchni brzmiały zaskakująco.

Dalej popłynął potok zwierzeń osobistych; lata niewidzenia się nie ościły naszej zażyłości, po dziesięciu latach podjęliśmy ją, jak po jednej nocy. W trzydziestym dziewiątym zwracał się do mnie, bym mu trzymał do chrztu jego najmłodszego. — Co do dzieci — rzekł — nie mogę teraz narzekać. Najstarszy jest inżynierem, drugi chodzi do liceum, a pana Pietrek pójdzie w tym roku do gimnazjum. U moich rodziców było nas trzech, czy ktoś z nas czegoś się nauczył? Córce urodziło się niedawno dziecko, to dostała wyprawkę za dziesięć tysięcy. U mnie urodziło się sześciorko, czy ja kiedyś coś dostałem?

Po żonie miał pół morgi sadu, który przylegał do Wisły. Brzeg rzeki należy do miasta. Pewnego dnia przyszedł inżynier wytyczyć granicę i wdarł się na kilka metrów do sadu. — Wyrwałem kół z płota i zamachnąłem się na niego. Tędyk nie przejdzie granica! — krzyknąłem. — To moje! Niech pan inżynier po dobru ustąpi! Inżynier zbłądł i odszedł.

Nawet w opowiadaniu przerażała siła rybaka. Brał wyprawkę, chwali rząd robotniczy, który opiekował się jego dziećmi, ale na inżyniera „zamachnął się“. Szolochow w „Zorany ugorze“ daje sporo podobnych scen. Dalej dowiedziałem się od mojego rybaka, że wybiera się na prowincję do pracy obręczarskiej. Spytałem go, czy zna tę robotę. — Nie potrafię naciąć kija?! — obruszył się. — Czy to pióro, od którego mnie ręka boli tak, że nie mogę utrzymać toporka?

Pod koniec rozmowy podał mi istotę, wino swych doświadczeń:

— Młodzi mają teraz dobrze, ale dla nas starych — za późno!

3.

W trzy lata później, spotkawszy mnie w pewien pochmurny dzień na rynku, mój rybak zażądał, byśmy obłeli spotkanie. Ujawszy mnie pod rękę, prowadził mnie nie pod arkady, gdzie mieściła się d z i u r k a, uznawana przez miejscowych — w każdym uzdrowisku tubylcy mają własny lokal, nieodwiedzany przez przyjezdnych — lecz w górę rynku, do pani N. Posadziwszy mnie na werandzie, pobiegł zamówić ćwiartkę, a gdy wrócił, rozsiadł się szeroko jak S t a m m g a s t. Zachowywał się tak, jakby wszystkie swe dni spędził w lokalu pani N., zupełnie nie pamiętał uczynionego mi dawniej wyznania, zapomniiał o niepisanym prawie, które całe życie trzymało go z dala od lokalu pani N. i kierowało z rybami do kuchni. W jego zachowaniu nic nie świadczyło, by ślad tego prawa jeszcze w nim żył. Już nie pamiętał o kuchennym wejściu, ja natomiast — jak to niekiedy bywa, — nie mogłem o niczym innym myśleć, choć, w porównaniu ze zmianami na każdym kroku naszego życia, był to przecież tylko drobniaczek.

Młódzie, jakim świat zastaje, takim widzi go i w przeszłości; nie wyobraża sobie innego. Opowiadano mi, że śpiewacy i tancerze z „Mazowsza“ zupełnie nie mogą sobie wyobrazić innego stosunku państwa do tancerzy i śpiewaków. Ale wychowankowie „Mazowsza“ — to dzieci, natomiast mój rybak był już przecież dziadkiem! Przyglądając mu się i rozmawiając z nim, stwierdzałem oto, że już nie wyobrażał sobie świata od kuchni i świata od frontu, zasada równości utrwaliła się w nim na kamień, na amen. Choć starzy kazimierzanie, różni przedwojenni bywalcy, nazywali

jeszcze lokal imieniem pani N., pani N. nie było już w Kazimierzu, a nad lokalem wisiał szyld „Gospoda Ludowa“, i to była gospoda ludowa! Przewodniczącym Rady Miejskiej był dawny kowal, cały personel gospody łącznie z kierownikiem, składał się z ludzi „z kuchennych schodów“. Mieli nowe kłopoty, nowe troski, ale nie były to już troski i kłopoty „kuchennych schodów“.

— Zamyślił się pan — stwierdził rybak.

— Tak — potwierdziłem. — Jest o czym.

— Oj, jest o czym, potwierdził on z kolei.

Leniwi artyści, przedwojenni bywalcy Kazimierza, patrząc na śmigający personel Gospody Ludowej i na niektórych nowych gości, widzą historię przemian Polski Ludowej jakby w jakimś kieszonkowym Balzaku. Widzą ją nawet ostrzej, niż w dużych miastach, gdyż — jak się rzekło — małe miejscowości podają zarówno swe radości, jak swe bóle, jak i przemiany, dużo ostrzej niż duże miasta. Małe miasteczka są właściwie małymi, gotowymi książkami. Zresztą wcale nie takimi znowu małymi!

Dzień dobry — miasteczko polskie, Kazimierz Dolny!

DZIECI!

W niedzielę odbyły się narciarskie zawody dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Były to przeważnie dzieci góralskie lub mieszkańców Zakopanego, z „doliny“ nie było nikogo. Przechodząc ulicą Kasprusie natrafiłem na tłumy. Nie odstraszały ich ani potworna zawaiewia, ani zimno, ani niepunktualność organizatorów. Ojcowie, matki, ciotki, siostrzyczki — tupiąc nogami czekali cierpliwie na popisy swych maleństw. Organizatorzy zawiedli i długo po zapowiedzianej godzinie nie było jeszcze nic. Wreszcie zaczęło się; bieg płaski na sto metrów wygrało niemowlę, które chyba nie miało jeszcze sześciu latek. Miało drobniutką twarzyczkę, perkaty nosek i gniewne, niebieskie oczy. Nic w tej twarzy już nie zmieni się do późnej starości, mimo to — było urocze, jak jego konkurenci, jak wszyscy zawodnicy — nieśmiali, zagubieni, oszołomieni rykiem megafonów, tłumem, zawieją, matkami, ciotkami, nachylającymi się nad nimi, zapinającymi, odpinającymi, gadającymi. Po biegu spiker poinformował nas, że najgroźniejszy konkurent w biegu płaskim w ogóle nie zjawił się, bo rozchorował się z wrażenia. — M o j e także całą noc nie zmrużyło oka, a rano miało gorączkę — mówiła przy mnie jedna kobieta do drugiej. Obie mało przychylnym okiem spoglądały na zwycięzcę, na jego malutkie narty, jak dla lalki.

Nazajutrz zaszedłem do rymarza, u którego miałem plecak w naprawie. Rymarz,



nieprzytomny ze wzburzenia, pierwszy zaczął o wczorajszych zawodach. Powiedział, że jego było właściwie pierwsze, a przyznali mu czwarte miejsce. Orzekli, że jest za duży. „To co zrobić? Kamień mu na głowę położyć, żeby nie rósł? Cofli go o trzy metry wstecz, a na mecie jeszcze się zmylił, bo sędziowie powinni stać za metą”.

W tym momencie z drugiego pokoju wbiegła rymarzowa, kobieta wysoka, energiczna. Podobnie jak rymarz, cała płonęła:

— Panie — wołała — coś takiego może się stać tylko w Polsce! W zeszłym roku, jak urządził „Kolejarz“, nie było żadnych kantów, w tym roku gospodarzył AZS. Mój starszy należy do AZS, gra w ping-ponga. Nie chcę mu przerywać, inaczej powiedziałyby mu: Nie choź do AZS. Panie, ja nie jeżdżę na nartach, mąż nie jeździ, to czy nie powinni wynagrodzić mojego? Orłowskiego startuje już trzeci rok. Już trzeci rok ma siedem lat!

— Synek sąsiada — zastąpił rymarz słabnącą nieco rymarzową — ma cztery lata, taka pchła, brał udział w konkurencji i przyszedł pierwszy, a przyznano mu pierwsze miejsce. Dziecko potem rozchorowało się.

— Panie — wkroczyła znów rymarzowa — a co się dzieje wśród dzieciaków w szkole? Dzieci powiadają: skoczył dwa i pół metra, przewrócił się i przyznali mu pierwsze miejsce. Niech pan pójdzie do szkoły i przyjrzy się.

— Chłopaczek pani cierpi? — spytałem.

— Panie, nie je, sen stracił, będę go musiała chyba zaprowadzić do lekarza. Ale na drugi rok będę mądrzejsza...

— Co pani robi? — spytałem.

— Na drugi rok to sama stanę, panie!

POEZJA I MATEMATYKA

Na Gubałówce. Matka (35 lat) do swego sześciolatniego synka: Popatrz, Andrzejku, jak ślicznie się robi, słonko wychodzi, już Giewont widać, już widać krzyż. Andrzejek (surowo): Krzyż ma dwanaście metrów.

Czy to prawda, że dzieci nie mają stosunku do poezji, a mają go do matematyki? A jeśli tak, to czym wytłumaczyć malarstwo dzieci, które jest przecież samą poezją?

OBYWATELE, NIECH ŻYJE MAŁA FORMA!

Gdy w roku 1948 ukazał się mój tom opowiadań pt. *Szekspir*, któryś z krytyków napisał wnikliwie, że długo dałem czekać na tę swoją pierwszą powojenną książkę. Mieszkaliśmy w jednym domu i ów krytyk nieraz słyszał, że nie mogę się zdecydować na zebranie opowiadań i wydanie ich w tomie.

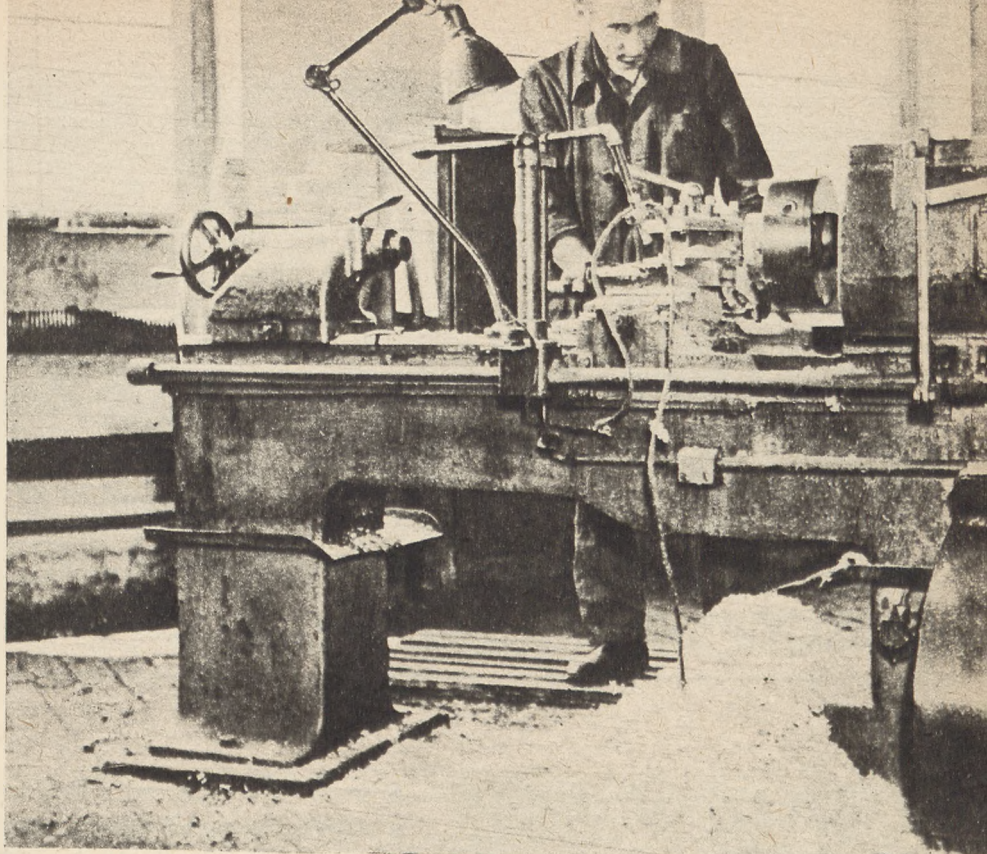
Tajemnica leżała w tym, że nie chciałem ich wydać razem, bo bałem się, że introligator wydobędzie największy ich, według mnie, brak, ten mianowicie, że są to strzępuszki historii, tylko strzępuszki. Jak szarlotka w blaszance, tkwiłem w historii, a to, co wykrawałem, było nie większe od szarlotki — jakże więc mogłem się z tym pchać na potężny głód pierwszego powojennego okresu?

Przeżywałem katusze; żaden krytyk nie potrafił tak zmęczyć autora, jak on sam siebie. W tym okresie — pamiętam — uznawałem jedyne kryterium — epickie. Wszystkie rodzaje sztuki wydawały mi się odpryskiem epiki, odmianą epiki i zupełnie nie znajdowałem usprawiedliwienia dla małej formy, którą uprawiałem. To, co odpadało po drodze, wydawało mi się nie mniej ważne od tego, co zostawało. Wszelkie moje osiągnięcia wydawały mi się żałosne. — I są chyba żałosne — mówiłem sobie — skoro nie możesz, pomimo wszystko, zabić historii, a to, co dajesz z historii, jest przecież tak mikroskopijne! Wyobrażasz sobie, ile więcej dają zwykli pamiętnikarze, których nie gnębią kryteria artystyczne, i którzy wywalają masę, masę, która ma wszelkie dane, by w przyszłości sama stać się pełną sztuką. Nie tylko o sobie byłem tak ujemnego zdania. — To nie — mówiłem sobie — że artyści zbierają dziś śmietanę, zobaczmy, co będzie za dziesięć lat. Poczekaj z książką o okupacji, aż będziesz mógł dać swój długi list; lenie, nienawidzący pisania listów, przez całe życie odgrają się, że kiedyś napiszą długi list.

Nie czekając jednak na długi list, wypuściłem *Szekspira*, złożonego z krótkich listów, z opowiadań, z krótkiego rodzaju, z małej formy. — Jak to? Tylko tyle ma on nam do powiedzenia o czasach, o których można by napisać nową Komedie Ludzką? — Oto zarzut, którego obawiałem się najwięcej. Ale ten zarzut w ogóle nie padł. Czy dlatego, że książki o podobnej tematyce popłynęły wówczas lawą — jak śledzie, jedne uzupełniały drugie i razem zaspokajały wielki głód powojenny? Nie wiem.

O szalone, młode udręki pisarskie! Przypominałem je sobie ostatnio znowu, gdy przeglądałem niektóre z dawnych opowiadań. Przypominałem sobie moje dawne bóle, moje przekonanie, iż krótki rodzaj nie ma w ogóle racji bytu, gdyż jest tylko odpryskiem epiki, iskrą wielkiego ognia. Dopiero teraz, po latach, zobaczyłem, że ta iskierka z czasem sama staje się ogniem, że słowo, które kiedyś było warte grosz, nabiera wartości złotówki, że z drobnego pagórka rozlega się wcale ładny widok! W tym leży siła małego opowiadania: albo zamiera, albo urasta do nieba.

Obywatele, niech więc żyje mała forma!



Ludzi hartowały trudności pierwszych dni odbudowy: tokarz Jan Hornberger wyrabiał stale 140% normy, niezmordowanie tocząc uchwyty do szpul-skrecarek nici.

NYLON

Dokończenie ze str. 9

Bocha i nic nie wymyślił. A wiecie wy, jakich Niemcy mieli chemików?

Ślusarz Kłodecki zwierzył się raz inżynierowi Rossie:

— Lies ma rację. Mnie się zdaje, panie inżynierze, że z tego nic nie będzie. Rossa zadął wysoko głowę i spod na wpół przymkniętych powiek spojrzał na Kłodeckiego.

— Tak powiedział?

Kłodecki skinął głową. Inżynier odwrócił się od niego, splótł ręce na plecach i zapatrzył się w widoczną za oknem jeleniogórską uliczkę. Kłodecki zaczął żałować tego, co powiedział: zrozumiał, że odbiera ludziom jedyną broń, jaką im jeszcze pozostała — wiarę. Ślusarz poprawił beret na głowie, przysłaniający jasne, sztywne i rozsypujące się jak sioma włosy; zdecydował się:

— Panie inżynierze... coś mi się zdaje, że Lies wcale tak nie powiedział.

— Jak to, zdaje wam się?

— Ja niemiecki słabo znam — jęknął Kłodecki pod ciężkim spojrzeniem tamtego — przekręciłem cały sens... tak, tak.

Rossa uśmiechnął się rozbawiony; Kłodecki odetchnął: nie wyrządził człowiekowi krzywdy. Ale Rossa tego samego dnia zagadnął ślusarza Wieczorka. Ten zna pięć języków, nie przesyszał się.

— Władek, to prawda, co Lies mówił o polskich chemikach? Ze nic nie wynajda, skoro tacy chemicy jak Niemcy nie dali sami rady?

— Mówił, albo co?

— Bo widzisz, to, bracie, jest racja. Tacy chemicy najlepsi nie dali rady. A my co, ledwośmy z freblówek powychodzili.

Wieczorek popatrzył na niego uważnie.

— Francesco, coś ty? — zawołał. — Ja jestem taki sam majster jak Lies; dlaczego mnie nie wierzysz?

— A ty co myślisz?

— Ja? Wynajdziecie, pewny jestem. Słuchaj dobrze — sam mi opowiadałeś, że Amerykanie przehandlowali takie włókno na zbrojeniowe patenty. A ty pracujesz dla pokoju, no nie? To jest coś więcej niż interes. Ty musisz to wynaleźć, słyszysz Francesco — słyszysz?

Inżynier Brodowski zobaczył raz Wieczorka w laboratorium o pierwszej w nocy. Inżynier był zarośnięty, miał oczy podkrążone: czwartą noc przesiadywał nad ustalaniem składów chemicznych polimeru. Patrzył na Wieczorka świecącymi oczami, jakby je zakropił atropiną.

— Co wy tu robicie o tej porze, Wieczorek?

Noc była duszna. Wieczorek miał na sobie białą, gimnastyczną koszulkę. Potężny tors wyglądał wszystkie fałdy. Na kępkach gęstych włosów wychylających się spod okrągłego wycięcia kołnierza na piersiach, świeciły się kropelki potu. Wieczorek odparł:

— Czekam, może akurat dzisiaj się uda.

CHEMICY dokonali setek prób; majster Lies uśmiechał się dalej: „Scheiss, wszystko scheiss”. W 48 roku w szklanej aparaturze białe płatki polimeru zaczęły topnieć. Wyciekło włókno. Inżynier Brodowski chwycił je nerwowo palcami. Skrzywił się:

— Dobrze do materaców.

Ale druga próba powiodła się. Wtedy majster Wieczorek wykonał z metalu kociołek. Miał pojemności 400 gramów; dokonano w nim pierwszych prób ćwierćtechnicznych.

Łódzcy dziewiarze zwołali konsylium i orzekli: „Z tego już mogą być pończochy”.

Majster Lies podszedł do Brodowskiego i przygryzając siwy, kwadratowy wąsik powiedział: „Ich gratuliere Ihnen, Herr Ingenieur”.

Rzucili się w stronę inżynierów i porwali ich na ręce. Białe kitle chemików zeglowały wysoko pod sufitem. Ktoś przyniósł dwie butelki wina; pili z probówek, szybko, hałaśliwie. Instytut Badawczy Włókien Sztucznych obchodził wielkie i uroczyste święto.

Przyjechali wrocławscy dziennikarze i transmisyjny wóz radiowy. Rozbiegli się po całym laboratorium i byli trochę rozczerwieni, że nie zobaczyli gotowych nylonów. Nie mogli jednak wyjść z podziwu, że pończochy powstają z płatków przypominającego wosk.

Z WARSZAWY nadeszło pismo nakładające na Instytut plan produkcyjny. W związku z tym Wieczorek przystąpił do sporządzenia dużego kociołka. Miał być dziesięć razy większy od tego, w którym dokonano zwycięskiej próby. Kiedy kociołek był już gotowy i kiedy płatki polimeru zaczęły w nim topnieć, okazało się, że radość była przedwczesna.

Tym razem, tak jak i przedtem wyniki znany problem alfarazy: wszystkich składników chemicznych nie udało się pomnożyć przez dziesięć.

A przez ile?

— Gdybym mógł na to odpowiedzieć — powiedział inżynier Lesiński — byłbym genialny. Każdy trzeba mnożyć inaczej.

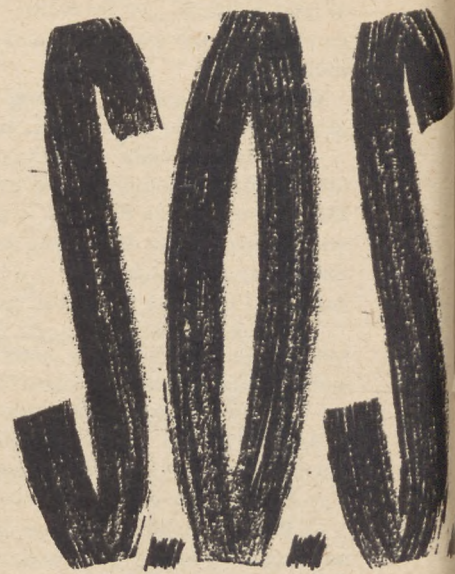
Dalszy ciąg nastąpi



W lutym 1909 roku zginął w Tatrach znakomity kompozytor Karłowicz (x). Wtedy to, z inicjatywy M. Zaruskiego powstało Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe.



Pewnego dnia kierownik Pogotowia, Wójcik, otrzymał telefon o wypadku...



W kierunku Doliny Suchej Wody ruszyła ekipa wytrawnych ratowników...

(PAP). Andrzej Marusarz, przewodnik i ratownik tatrzański, członek honorowy PTTK, otrzymał stałe zapotrzebowanie miesięczne w uznaniu jego zasług dla rozwoju turystyki, ratownictwa i całokształtu działalności.

Przyznanie emerytury najstarszemu przewodnikowi tatrzańskiemu, góralowi A. Marusarzowi, jest świadectwem troski i opieki, jaką Państwo Ludowe otacza obywateli, którzy w służbie społecznej dobrze zasłużyli się swemu społeczeństwu i krajowi.

DOCHODZIŁO południe. Słońce świeciło ostro, podkreślając cienie nierówności terenowych, maliniaków i drzew.

Na Hali Gąsienicowej Muranowiec czeka na turystów z obiadem. Wszyscy poszli na narty, jedni pod Kościelcem, inni na Kasprowy, na Beskid lub na półkę treningową, tzw. „ośle łączki”. Przeważnie grupkami, niektórzy jednak pojedynczo. Otóż to właśnie...

Józek, Józeek!

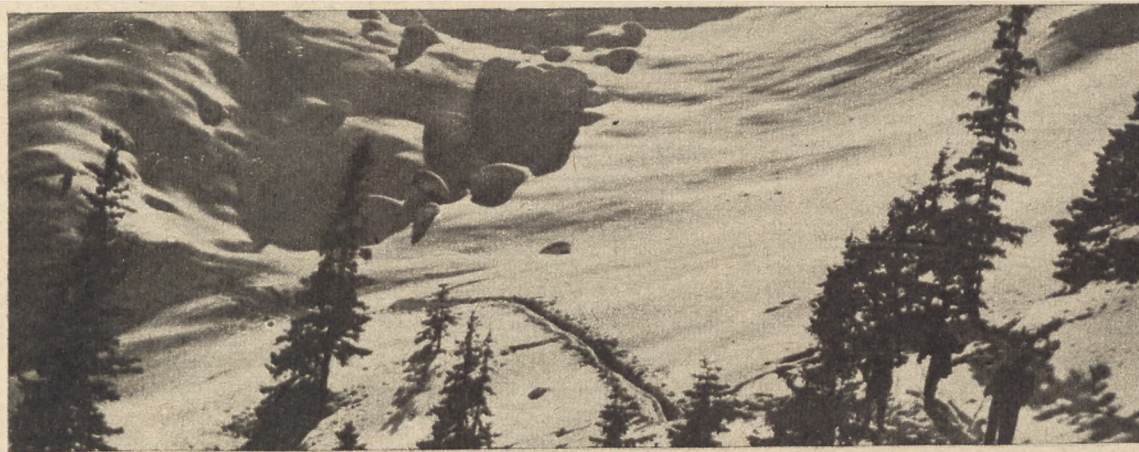
Józef Wawrytko spokojnie odłożył swoją robotę, choć już wiedział, po co gowołano. Takim tonem Kunc wołał tylko wtedy, kiedy jest wypadek.

Wiatrówka, rękawice. Szybko na dół. Tam już czekali Michał Gajewski i Józef Kunc i ktoś jeszcze. Na toboganie leży sprzęt ratowniczy, apteczka i szy-

ny, wszystko na miejscu, zawsze gotowe do użytku.

Przed wyjściem ratownicy TOPR (Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe) jeszcze raz przeglądają sprzęt — niczego nie brakuje. Tymczasem narciarz opowiada...

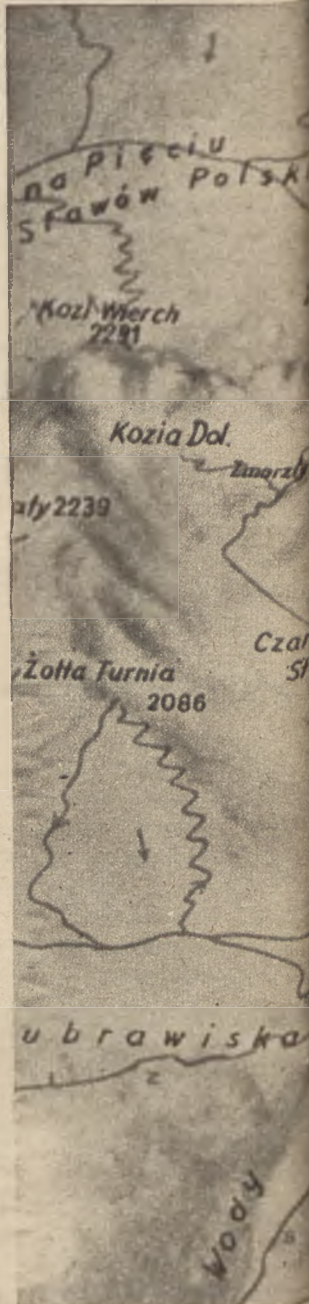
Jechał już na dół, jako ostatni z grupy. Zatrzymał się, aby policzyć, czy wszyscy koledzy są już przed nim. Stał rozglądając się. Nagle z boku, gdzieś nad dolinką Suchoj Wody wyloniła się sylwetka narciarza. Kobieta. „Nieźle nawet sobie daje radę” — pomyślał. Już miał ruszyć dalej, coś go jednak zatrzymało. Kobieta znikła mu z oczu, skryła się w cieniu i zaraz wyskoczyła poniżej tej grupy maliniaków. Czekaj chwilę; nie, nie wyjeżdża. Coś się stało. Usiłuje dojrzeć, co się tam dzieje, i widzi jakby intensywniejszy cień na ka-



Ratownicy dojeżdżają na miejsce wypadku... Widać jeszcze świeży ślad narciarza, urywający się w kamienistej dolinie. Niewątpliwie narciarz, źle ocenił teren i wpadł na jeden z wielkich kamieni.

Ekipa zbliża się do ofiary. Jest to młoda kobieta. Ma poranioną twarz i — jak się wydaje — także nogę. Próbuje się ruszać, nawet się uśmiecha na widok ratowników.

Rozbita o głazy kobieta nie mogła wyciągnąć narty spod wielkiego kamienia. Na szczęście nadeszła pomoc...



Dośkonale znający teren wypadku, mimo trudnego

W DOLINIE SUCHEJ WODY



Teraz do roboty! Wprawne ręce szybko zakładają opatrunki. Najpierw zabezpieczyli złamaną nogę, potem opatrują twarz. Wreszcie ofiarę przeniesiono na tobogan.

mieniu. Wypadek. Widocznie samotna narciarka źle oceniła zacieniony teren i oslepiona słońcem wpadła na olbrzymi kamień przysypany śniegiem.

Kierownik schroniska zadaje jeszcze pytania, aby uzupełnić meldunek o wypadku, który prześle do siedziby TOPR w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem. Ratownicy już ruszają ciągnąc tobogan.

— Gdzie to jest? Chyba w tej grupie maliniaków za ostatnimi świerkami.

Trzej ludzie na śniegu szybko posuwają się naprzód. Podejście jest znane, ale trudne — ciężkie sanie hamują tempo marszu. Po godzinie podchodzenia jeszcze nic nie widzą; ofiara wypadku leży chyba od strony stołu. Coraz bliżej rysują się ciemne maliniaki.

— Jest. Ależ nią prasło! — Usiłuje się podnieść, zobaczyła ratowników

Młoda kobieta, ma poranioną twarz i — jak się wydaje — także nogę. Próbuje się jednak ruszać, nawet uśmiecha się, choć krzywo to jakoś wychodzi. Widok ratowników sprawia jej ulgę. Jest bardzo blada.

— No, tośmy są!

Teraz do roboty. Wprawne ręce szybko zakładają opatrunki. Ile delikatności u tych chłopców. Najpierw szynami i bandażem zabezpieczyli złamaną nogę. Teraz twarz. Broda i czoło dobrze już sine. Po opatrunku przenoszą ją na tobogan.

— Co też Pani przyszło do głowy, żeby się samej wypuszczać? Przecież gdyby się chłop nie odwrócił, byłaby tu Pani została. To plaga, ci samotni narciarze. Tylko przypadek ich ratuje. Tym razem jeszcze się udało...

Teraz trzeba podciągnąć ją do szlaku. Zaprzęgają się do dyszelków toboganu i zakładają pętle lin, uważając, żeby jak najmniej sprawiać bólu rannej. Dobrze, że droga jest przetarta, bo bywa czasem i tak, że zapadając się w głębokim śniegu trzeba sprowadzać tobogan krok za krokiem. Mają wtedy ratownicy za swoje, a raczej za cudzą nieopatrzność.

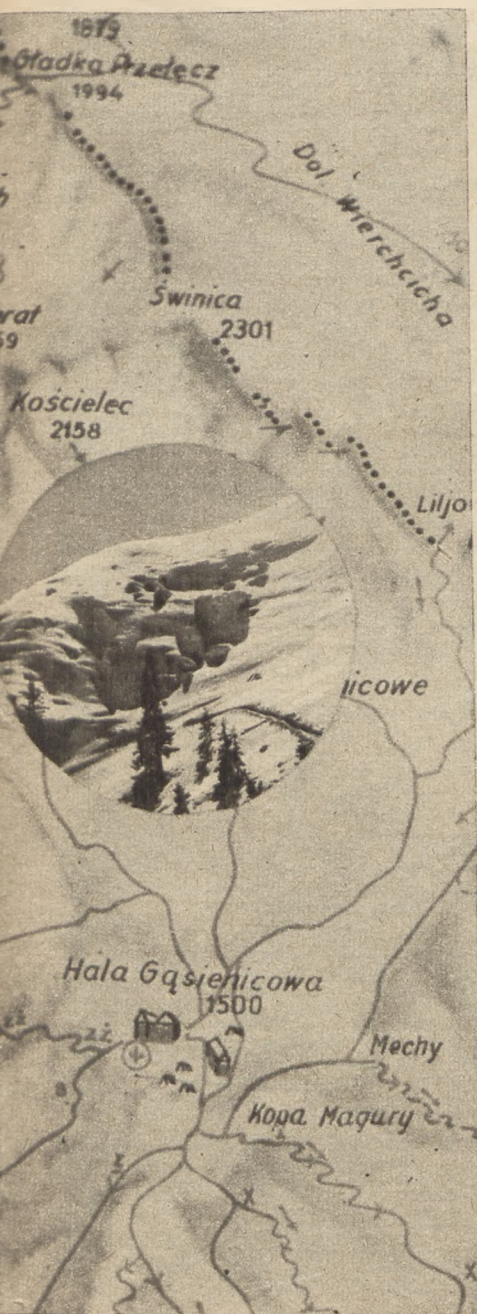
Zimą góry są niebezpieczne, o czym zapominają mieszkańcy dolin. Przeważająca ilość wypadków zdarza się samotnym narciarzom. Szybka pomoc może uratować życie nawet zasypianemu lawiną, ale o wypadku samotnego turysty nikt nic nie wie i dlatego przeważnie kończy się tragicznie. Tak zginął w lutym 1909 roku Mieczysław Karłowicz — wielki kompozytor i skrzypek polski — stosunkowo niedaleko od schroniska, przysypany lawiną u stóp Małego Kościelca. Wtedy to powstało z inicjatywy Mariusza Żaruskiego Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe.

Dziś przy PTTK istnieje organizacja p. n. Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, która dzieli się na szereg sekcji: Pogotowie Tatrzańskie, Beskidzkie, Krynickie i Sudeckie. W Tatrach we wszystkich prawie schroniskach są stałe dyżury ratowników: na Hali Gąsienicowej, na Kasprowym, na Goryczkowej, na Kondratowej, na Ornakach, nawet na Gubałówce. W samym Zakopanem istnieją „punkty zgrupowania” w Dworcu Tatrzańskim, na Żywieckim i na Kościeliskiej. O wypadkach zawiadamia się telefonicznie najbliższe schronisko, a do zasypianych lawiną mobilizuje się wszystkich ratowników ze względu na uciążliwość i długotrwałość akcji.

Członkami Pogotowia są ludzie w różnym wieku: niektórzy po sześćdziesiątce (ale oczywiście w pełni sił), niektórzy osiemnastoletni. Wszyscy przechodzą specjalne przeszkolenie w ratownictwie górskim i udzielaniu pierwszej pomocy. Wymagana jest duża odporność fizyczna i psychiczna, bez których nie udałoby się przeprowadzić żadnej akcji. Dlatego Pogotowie Ratunkowe jest ochotnicze. Ta piękna służba społeczna gromadzi doskonały zespół ludzi, zawsze gotowych nieść pomoc, a nawet narazić życie dla innych.

JÓZEF PODSTOLSKI
Zdjęcia: W. WERNER

Teraz trzeba dotrzeć do przetartego szlaku. Zapadając się w śniegu, wciągają tobogan krok za krokiem. Mają ratownicy za swoje, a raczej za cudzą nieostrożność...



ratownicy TOPR-u szybko dotarli do miejsca zdarzenia i sanie hamujących tempo marszu.

RYSOPIŚ PUSZKINA

LEON GOMOLICKI

JAK się przekonałem z licznych rozmów, ludzie u nas na ogół wyobrażają sobie Puszkina jako potomka Abisynczyka, o ciemnej cerze i czarnych kędzierzawych włosach. Błąd ten popełniając nie tylko zwykli laicy. Nasi plastycy malując głowę poety nie szczędzili czarnej farby, jeden zaś z poważnych badaczy literackich, wspominając o „rysach afrykańskiego pradziada”, dorzucił szczegół: „grube wargi harmonizowały z runem czarnych włosów”.

A tymczasem w rzeczywistości Puszkina był błękitnookim, ciemnym blondynem.

Żeby się przekonać, wystarczy spojrzeć na olejny portret poety pędzla Tropinina lub na ostatni portret pędzla A. Kozłowa, przedstawiający Puszkina w trumnie. Nawet na utrzymanym w ciemnych barwach portrecie Kiprenskiego włosy poety mają wyraźny odcień kasztanowaty. Poza portretami zachowały się świadectwa ludzi współczesnych Puszkiniowi. Tak np. W. Buraszow pisał w swoich wspomnieniach wydanych w roku 1871:

„Do pokoju wszedł nagle, niespostrzeżenie niewielkiego wzrostu osobnik o długich, kędzierzawych i potarganych ciemnobłond włosach... W rysach jego było coś niezwykłego, przypominającego jakby pochodzenie mulackie: nos nieco przyplaszczony, wargi nader czerwone i szerokie, natomiast ukazane w uśmiechu zęby — nadzwyczaj białe. Był to Aleksander Siergiejewicz Puszkina...”

Ale najciekawszym pod tym względem świadectwem jest dokument, który zawiera szczegółowy rysopis poety. Mam na myśli „Świadectwo podróźne”, wydane przez właścicielkę sąsiadującego z Michajłowskim majątku ziemskiego Trigoroskoje — Osipową. Historia tego dokumentu jest następująca:

Kiedy wieść o śmierci Aleksandra I dotarła do wsi Michajłowskoje, miejsca zesłania poety, i Puszkina dowiedział się od Puszczyńskiego, że jego przyjaciele-dekabrysty przygotowują w stolicy powstanie, w postanowieniach poety dojrza-

ły przygotowywane od dawna plany ucieczki. Puszkina postanowił samowolnie przerwać zesłanie i wyjechać do Petersburga. Sąsiadka Osipowa, z której rodziną przyjaźnił się poeta, zgodziła się pomóc mu w ucieczce. Razem obmyślili plan. Puszkina miał wyjechać w przebraniu sługi Osipowej, Aleksego Chochłowa, posługując się w drodze delegacją wydaną przez Osipową. „Delegację” tę napisał sam Puszkina na ćwiartce arkusza papieru listowego z pieczęcią rodzinną Puszczyńskich. W wigilię dnia wyjazdu, poeta był w Trigoroskim u Osipowej. Wieczorem właśnie powrócił z Petersburga przerażony kucharz Osipowej, który opowiedział, że „w stolicy wybuchł bunt — wszędzie patrole i warty, tak, że ledwie można wydostać się za rogatkami”. Słyszając to Puszkina, według świadectwa córki Osipowej — „straszenie zbladł”. Nazajutrz wyjechał w stronę Pskowa razem z chłopem pańszczyźnianym ze wsi Trigoroskoje, Kuroczkinem, który miał mu towarzyszyć w drodze. W kieszeni Puszkina-Chochłowa włożył „delegację” podpisaną dnia 29 listopada 1825 roku przez radczynię stanu Praskowię Osipową. W delegacji Osipowa pisała, że wydaje ją ludziom wsi Trigoroskoje: Aleksemu Chochłowi i Archipowi Kuroczkinowi, na dowód, że rzeczywiście są wydelegowani do Petersburga w prywatnych sprawach swej pani, która prosi strażników urzędujących na rogatkach o nie czynienie jej ludziom trudności przy przejazdach.

Ucieczka nie doszła jednak do skutku. Puszkina dojechał tylko do parafii Wrewa i stamtąd kazał zawrócić: w drodze spotkali bowiem popa, który był przydzielony do osoby Puszkina w charakterze szpiega-obszera i który łatwo mógł go poznać. Wyjazd został odłożony na dzień następny, tymczasem „dworowy” Kuroczkin ciężko zachorował. Wkrótce z Petersburga przyszły nowe wiadomości o masowych aresztowaniach i ucieczka Puszkina stała się w ogóle nieaktualna. Pogodzin w swoich wspomnieniach przytacza słowa Puszkina, który miał jakoby powiedzieć już po zlikwidowaniu powstania: „Planowałem wtedy, że przyjadę do Petersburga późno wieczorem i, aby nie od razu dowiedziano się o moim przyjeździe, miałem udać się prosto do Rylejewa — a więc trafiłbym akurat na naradę 13 grudnia. Przyjęto by mnie na pewno z entuzjazmem i prawdopodobnie razem z innymi znalazłbym się na Placu Senackim, a obecnie nie siedziałbym tu z wami, moi drodzy”.

Z nieudanej ucieczki zachował się jednak dokument — „delegacja” Osipowej, wydana na imię Aleksego Chochłowa, w którym puszczyński rozpoznał poecie. Dzięki temu puszczyński otrzymała dokładny rysopis Puszkina.

Tekst „delegacji” został opublikowany po raz pierwszy przez M. A. Ciawłowskiego 6 czerwca 1934 roku, jednocześnie w dwu pismach: „Literaturnaja Gazieta”, nr 71 (387) i „Izwiestija CIK SSSR”, nr 131 (5379). Inny badacz, P. S. Popow, opublikował facsimile dokumentu w piśmie „Zwienja”, nr 3—4, str. 146. L. B. Modzelewski pierwszy zwrócił uwagę na to, że „Świadectwo podróźne” Osipowej jest pisane ręką Puszkina: J. Z. Czerniak zaś na posiedzeniu Komisji Puszczyńskiej, odbytym w Moskwie 3 maja 1934 roku, pierwszy



Nad placem Puszkina w Moskwie góruje pomnik poety dłuta A. Opiełuszina.

wyraził przypuszczenie, że pod imieniem Aleksego Chochłowa ukrywał się Puszkina. Przypuszczenie to podjął i uzasadnił M. Ciawłowski w artykule Puszkina-Chochłowa*, w którym pisał: „Aleksy Chochłowa nie był nikim innym, jak samym Puszczyńskim; poeta dodał sobie tylko trzy lata, widocznie uważając, że wygląda na starszego, niż był w rzeczywistości”.

A oto sam rysopis:

„Świadectwo to — czytamy w delegacji Osipowej — wydane ludziom ze wsi Trigoroskoje, Aleksemu Chochłowi, wzrostu 2 arszyny 4 werszki, włosy ciemnobłond, oczy błękitne, broda gólowa, lat 29, oraz Archipowi Kuroczkinowi... na dowód, że rzeczywiście się oni wystąpił przeze mnie do St. Petersburga w moich prywatnych sprawach...” itd.

Teraz jeszcze w sprawie wzrostu Puszkina, który uchodził wśród przyjaciół za człowieka niskiego. Wzrost jest pojęciem względnym. Według „Świadectwa podróźnego” Osipowej wzrost Puszkina wynosił 2 arszyny 4 werszki, a zatem — 1 metr 60 centymetrów (dawna rosyjska miara długości 1 arszyn równa się 71,12 cm, wierszok zaś był 16 częścią arszyny). Według przedstawionego przez A. Niewiarowicza rysopisu Adama Mickiewicza, nasz wielki poeta „mierzył 1 m 64 cm”, a więc był tylko o 4 cm wyższy od Puszkina. Wobec tego zapytajmy: czy Puszkina mógł robić na Mickiewicza wrażenie „człowieka wzrostu niskiego”, jak to pisze cytowany już przeze mnie na początku polski badacz życia i twórczości Mickiewicza.

*) „Literaturnaja Gazieta”, 1934, nr. 71.



„Zegnaj przyjacielu” — obraz laureata Nagrody Stalinowskiej, G. Sawickiego, przedstawiający pożegnanie Puszkina z przyjacielem, który odwiedził poete na zesłaniu.

ŚWIAT KSIĄŻEK

(ALIGHIERO TONDI: KARTKI Z PAMIĘTNIKA BYŁEGO JEZUITY „KSIĄŻKA I WIEDZA” 1952)

KILKA miesięcy temu prasa doniosła, że włoski ksiądz — jezuita Alighiero Tondi zrzucił suknie duchowne i na łamach prasy demokratycznej naplemniał politykę watykańską, jako sprzeczną z interesami narodowymi Włoch. W niewielkiej książeczce opisał później wydarzenia, które skłoniły go do powzięcia tak zdecydowanego kroku.

Możemy się domyślać, że decyzja wystąpienia z zakonu nie przyszła łatwo. A z drugiej strony fakty opisane w pamiętniku — mimo iż podane w dość suchej, pozbawionej komentarzy formie — mają tak dobitną, tak demaskującą Watykan wymowę, że rozumiejący doskonale, dlaczego ksiądz Tondi odciągnął się od polityki kościelnej, porzucił piastowane godności i na łamach prasy demokratycznej uznał słuszność postępowania Włoskiej Partii Komunistycznej oraz innych ugrupowań postępowych.

Jakież to były fakty? Cofnijmy się do pierwszych lat powojennych. We Włoszech, droga fałszerstw wyborczych i jawnego terroru, dochodzi do władzy partia chrześcijańsko-demokratyczna, wyrazicielka polityki Watykanu, od dawna związanej z amerykańskim imperializmem. Słowa przywódców Włoskiej Partii Komunistycznej, którzy wyjaśniali społeczeństwu, że reakcyjny rząd chadecki zrujnuje kraj — spełniły się w całej rozciągłości. Jak każda władza nie działająca w interesie mas pracujących, lecz tylko w interesie wąskiej grupy posiadaczy, chadecka włoska wyrażała narodowi wielkie szkody. Kraj pograżał się w coraz dotkliwszej nędzy, rosło niezadowolenie nawet wśród drobnych posiadaczy. Penetracja amerykańska rujnowała przemysł, pogłębiała się upadek rolnictwa. Chadezy jawnie zaprzęдали Włochy amerykańskimi podległymi wojennymi.

Opór narodu przeciw chadeckiemu rządowi rósł z dnia na dzień. Watykan widzi, że sprawa przybiera niekorzystny obrót i podejmuje decyzję, zgodną z wielowiekowymi tradycjami Kościoła: za wszelką cenę stara się podprzeć gnijący gmach ustroju, który dawno się przetrząsnął. Trzeba tylko skompromitowane osoby zastąpić innymi, zmienić sztyl na tej samej twierdzy kapitału i klerykalizmu. Trzeba zmoutować nową partię, nie mniej wierną Watykanowi, która pójdzie do zbliżających się wyborów z nowymi obietnicami.

Ale gdzie szukać zwolenników? Zadanie zmusza do poszukiwań przypadło w udziale m. in. profesorowi Tondy. Z polecenia władz zmierzchnich, wspólnie z niejakim Gedda, przewodniczącym Akcji Katolickiej, przystępują do montowania nowej organizacji. Ksiądz Tondi spokojnie ma sumienie, albowiem „Ojciec święty oświadczył, iż wiadomo mu jest, że Gedda ma zamiar stworzyć nowy ruch w celu „oczyszczenia atmosfery politycznej we Włoszech” i że w związku z tym on sam (t. zn. papież — przyp. red.) nie wysuwa żadnych obiekcji”. Moment zaskoczenia następuje dopiero później, kiedy okazuje się, że Gedda ma zamiar zaprosić do współpracy... jawnych i zakonspirowanych faszystów ze znanym zbrodniarzem wojennym, oślawionym Grazianim na czele.

Dochodzi do wspólnej konferencji Geddy z faszystami Grazianim i Vannim. Oto relacja ks. Tondi o programie politycznym nowej partii, który przedstawił zebraniom Gedda: „Włochy — mówi — muszą nareszcie zająć należne im miejsce w świecie. Włochy powinny się zbroić i być przygotowane do wojny. Wychowanie wojskowe i duch wojskowy leżą u podstaw wielkości każdego narodu. I wreszcie, jest rzeczą konieczną stworzenie we Włoszech rządu silnej ręki, który potrafiłby odpowiednio zdyscyplinować naród i zniszczyć komunizm”.

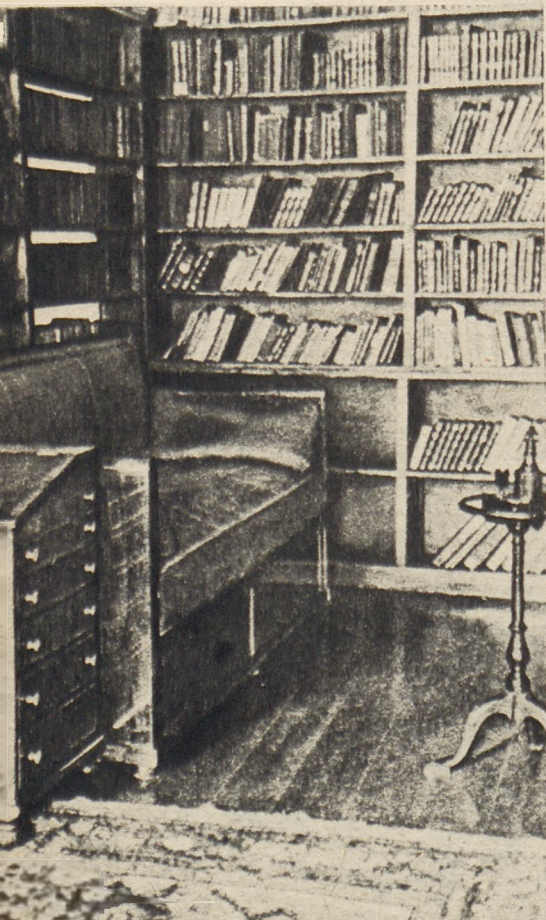
Uznawanie „bohaterstwa” byłych faszystowskich kombatanów, zniesienie ustaw specjalnych przeciwko faszystom, stworzenie ustroju korporacyjnego, wprowadzenie ustaw antystrajkowych, zbrojenia — wszystkie te rekwizyty dawnego i nowego faszystwu znalazły aprobatę Watykanu, gotującego nowy spiszek przeciwko demokratycznym wolnościom, przeciwko niepodległości Włoch. Ostatni punkt programu — dozbrojenie, miał bardzo szeroka, chociaż ukryta wymowa. „Zgodnie z zaleceniem Geddy — pisze ks. Tondi — nie wspomniano o pakcie atlantyckim ze względu na jego niepopularność”.

Taka była treść konferencji, która spowodowała wstrząs psychiczny u księdza Alighiero Tondi. Podaliśmy tutaj tylko drobną część jego gorzkich doświadczeń. A było ich znacznie więcej, tak wiele, że autor musiał zamknąć swój pamiętnik pełnymi gorzkości słowami:

„Miałem możność przekonać się osobiście, na własne oczy, u samego źródła, o porozumieniu między najwybitniejszymi przedstawicielami Chrystusa i faszystami — awanturnikami rozkładającego się kapitalizmu. Nadzieje na zwycięstwo pokłada się nie w krzyżu Chrystusa, ale w zbrojeniach amerykańskich. Księża i pralaci pragną odrodzenia we Włoszech faszystowskiej pałki policyjnej, pragną obcych wojsk, wojny, wytopienia komunistów, pragną bomby atomowej”.

Oto podstawowe przyczyny — kończy ks. Tondi — które skłoniły mnie do „nawrócenia się” na komunizm. Po długich walkach, mnie, wtłoczonemu w ciasne, zatekłe mury więzienia nie tylko duchowego, udało się wreszcie, dzięki własnej energii, więzienie to rozbić. I nareszcie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy i spokojny, gdyż oddycham wspólnym i czystym powietrzem prawdy”.

M. A.



Ostatnie mieszkanie Puszkina w Petersburgu, zamienione na muzeum. Na lewo kanapa, na której umarł Puszkina.



NA JARMARKU W KUTNIE

STOISKA Z TOWARAMI USTAWIONO GĘSTO OBOK SIEBIE. TUTAJ MOŻNA BYŁO KUPIĆ CAJK, KRETON, WELWET, ZABAWKI I WELNĘ.



Na schodach, prowadzących z ulicy na targowisko, trwał nieprzerwany ruch aż do późnego wieczora.



Opodal stoisk gosposie w pełnym stońcu oglądały nabyte towary i rozliczały się między sobą z wydatków.



Dowcipnisie, widząc jak chłopcy toczyli zakupione koła do furmanek, pytali: „To do roweru, ojcuzkowie?”



„Czy aby nie za ciasne?” Natychmiast po kupnie gospodarz z Wiązownej przymierzył buty na przymurku.

Z NAJBARDZIEJ nawet odlęgłych wiosek ciągnęły przez kilka dni furmanki chłopskie na Targi Zimowe w Kutnie. Wjeżdżających do miasta witały megafony pieśnią i komunikatami, z których najważniejszy brzmiał: „Prosimy nie tłoczyć się przed straganami, towaru nie zabraknie. Jesteśmy w stanie dowieźć każdą ilość”.

Tylko pierwszego dnia i to jedynie przed południem widać było niedowiarków. Mimo wielokrotnych zapewnień, że towaru jest pod dostatkiem, usiłowali oni wyprzedzić innych kupujących wywołując sztuczny tłok. Po południu przy wszystkich stoiskach panował już jednak idealny porządek.

Spółdzielczym punktom skupu chłopcy sprzedawali drób, nabiał, wełnę, len, skóry i odpadki użytkowe, a sami nabywali maszyny i narzędzia rolnicze, towary włókiennicze, meble, obuwie, aparaty radiowe, rowery i inne towary przemysłowe. Dzienny utarg przekraczał nieraz sumę 300 tysięcy złotych.

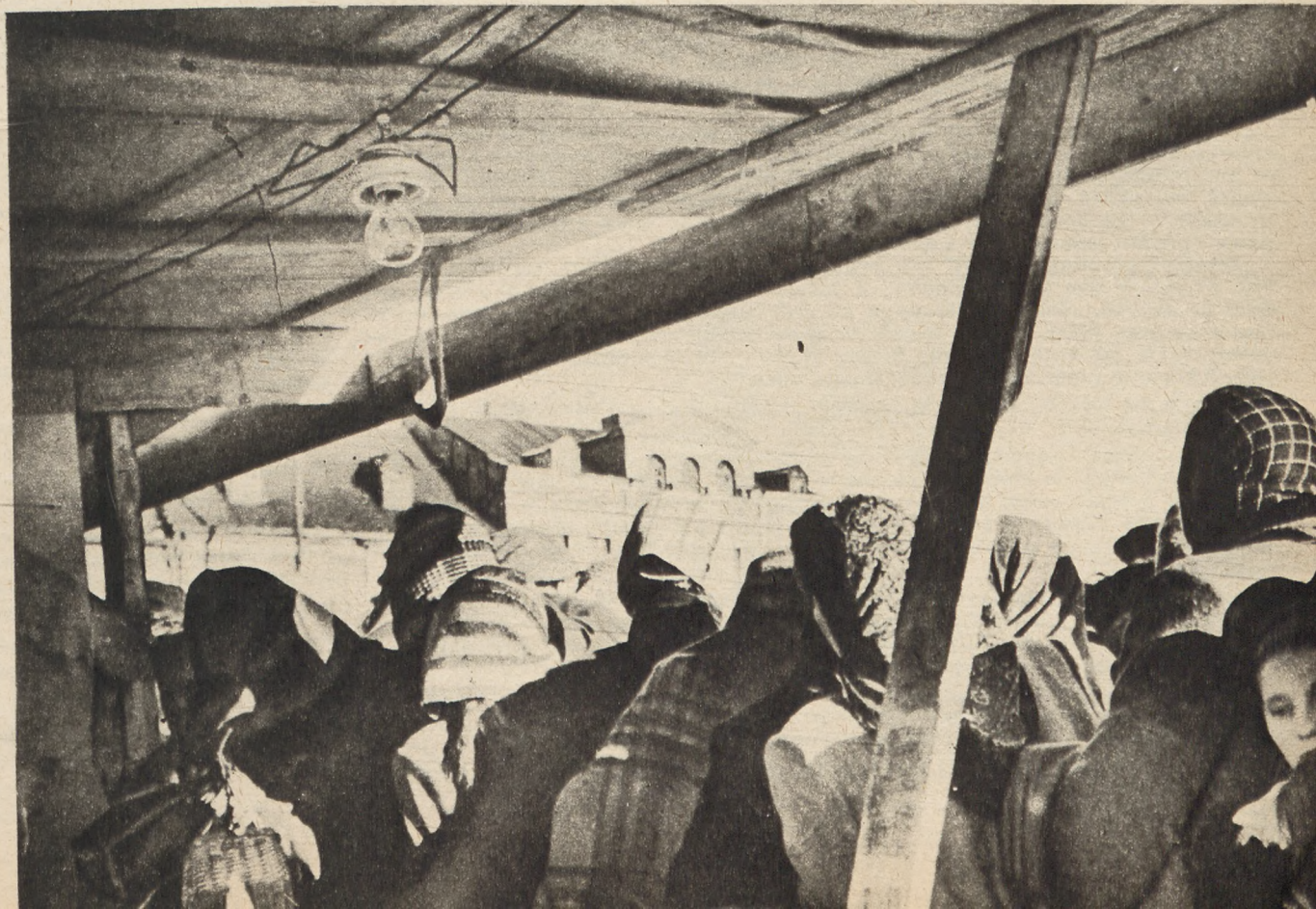
Targi Zimowe są nową formą handlu uspołecznionego i odbywać się będą w każdym mieście powiatowym. Zapoczątkowały one targi kwartalne, organizowane przez wszystkie PZGS-y. Projektuje się również ustawianie stoisk spółdzielczych na tradycyjnych targach w miasteczkach i większych osadach.

Ożywienie handlu straganowego i jarmarcznego przyjęli chłopcy z zadowoleniem, gdyż ta tradycyjna forma wymiany towarów między miastem a wsią ułatwia sprzedaż nadwyżek produkcji rolnej i nabycie wyrobów przemysłowych, koniecznych w każdym wiejskim gospodarstwie.

Poza tym, jak pokazały to już dotychczasowe doświadczenia, a zwłaszcza targi w Kutnie, ten rodzaj handlu skutecznie zwalcza spekulację.

Zdjęcia i tekst: T. SARNECKI

Choć we wszystkich stoiskach kupowały prawdziwe tłumy ludzi, to jednak towarów nie zabrakło dla nikogo.



Gniew ludu

(11)

STANISŁAW KOWALEWSKI

Ilustr. BARBARA PNIEWSKA

Nadchodzi ranek. Rozjaśnia się już zupełnie, tylko mgła srebrzysta, miękka wciąż leży nad doliną. We mgle czernieją kontury najbliższych obelisków, wynurzają się z niej ciemne, postrzępione świerki, podobne do jakichś fantastycznych, skrzydlatych istot.

Ścieżkami i drożynami od gór napływają teraz ludzie z sąsiednich wiosek. Rozmowy się ożywiają. Trzeba przybyłym raz jeszcze tłumaczyć wszystko, co zaszło w ciągu ostatniego wieczora i nocy.

Tłum na cmentarzu wciąż rośnie.

Ale i przeciwna strona za przesłoną mgły szykuje się do rozprawy. Koło samochodów kręca się gęsto policjanci. Pozywają się suchym prowiantem, który wzięli na drogę. Sprawdzają broń, a przede wszystkim starają się rozprostować nogi i ręce, zdrętwiałe po nocy spędzonej na twardych ławkach ciężarówek.

I kapitan Horn nie próżnował tej nocy. Już z samego wieczora skomunikował się telefonicznie z dowództwem większej jednostki policyjnej i okręgową komendą wojskową, do której miał się zwrócić w razie potrzeby.

Kwaterna kapitana znajduje się w domu wójta. Stąd telefonuje i czeka sam na wiadomości. W ogólnych zarysach plan kampanii ma już ustalony. Jego siły mieć będą tym razem przynajmniej przewagę. Kapitan ma wciąż jeszcze nadzieję, że sama demonstracja policji i wojska przechyli ostatecznie szale na jego korzyść.

Czasem myśli z niecierpliwością o dziennikarzu. Czego Kormoran szuka przez tyle czasu między tłumem rybaków i chłopów? Co za rewelacje odkrywają mu ci zbuntowani prostacy? I kapitan Horn, myśląc o postępowaniu dziennikarza, krzywi się z niesmakiem.

Czyż ten dziwak uważa na serio, że jego gadanina i agitacja coś tu pomoże? Że przyjdzie mi z pomocą i odplaci się za to swoje niefortunne wystąpienie z wieczora?

Nic tu niczyja gadanina nie pomoże. Horn wie z własnego doświadczenia, że upór tych prostaków może przełamać tylko siła. Ci ludzie cenią siłę i boją się jej. Kiedy zobaczą rano, jaką im przygotowano niespodziankę, prędko ochłoną ze swych zapalów.

Rano do przystani przybija motorowa barka z kompanią piechoty. Wojsko raczej ma pomagać w demonstracji, niż działać.

Niedługo później na stację koło portu wtacza się pociąg, złożony z towarowych wagonów. Przyjechał nim oddział policji konnej. Oddział przeznaczony do celów specjalnych, jak rozprawianie manifestacji i pochodów robotniczych.

Oto są niespodzianki, jakimi kapitan Horn myśli zaskoczyć obrońców cmentarza.

Kompanii piechoty przewodzi chudy, wyschnięty jak szczapa, porucznik z siwymi wąsami, z serii tych „żelaznych” poruczników, którzy bez awansu przechodzą na emeryturę. Żołnierze są w kilku ogólnikach uprzedzeni o celu, w jakim ich tu przysłano. Niektórzy widzą w tej wycieczce wythnienie od koszarowej nudy. Nie tracą więc humoru i z ciekawością rozglądają się po nieznanej okolicy. Większość jednak z żołnierzy to chłopcy, którzy niedawno są w wojsku, synowie rybaków czy robotników. Wspólne wystąpienie z policją nie wywołuje w nich zapachu. Wiedzą dobrze, co to policja. I choć znają twarde prawa żołnierskiego regulaminu, burzą się po cichu przeciwko używaniu ich do współdziałania z policją.

„Żelazny” porucznik ma swoje własne pojęcia o honorze i obowiązku żołnierskim, które są pojęciami całej kasty takich, jak on „żelaznych” poruczników i kapitanów, co nie awansują latami. Dużo zebrało się w nim gorczy i rozczerwienia. Wie, że kiedyś tam gdzieś na jakimś zakręcie swej życiowej drogi przeoczył jedyną okazję, by trafić w ten rwący nurt, który nazywa się karierą, który z poruczników czyni łatwo i prędko pułkowników i generałów.

„Żelazny” porucznik spędził lata wojny w hitlerowskim oflagu, powrócił w szeregi wojska w tym samym stopniu, w którym walczył z najeźdźcą, w którym poszedł do niewoli. „Żelazny” porucznik nie jest bardziej ograniczony niż inni przedstawiciele jego klasy, którzy zdążyli osiągnąć piękne życiowe awanse. Ten siwo-włosy, chudy jak tyka oficer ma jednak swoje i czule pielęgnowane w sercu pojęcie o honorze i męstwie, o uczciwości i służbie.

Zdarzają się tacy oficerowie na niższych szczeblach hierarchii wojskowej burzących armii.

„Żelazny” wie i rozumie, na czym ma polegać rola jego oddziału i jego, jako dowódcy w tej akcji, do której go skierowano. Wie, że jeśli choć na chwilę potrafi zapomnieć o tych fetyszach, które latami hodował we własnym sercu, o fetyszach honoru i męstwa — ma raz jeszcze w życiu, zapewne już ostatni, okazję, by wstąpić na tę ruchomą taśmę potęgi, na drogę awansu. Wie, jaki to podarek czyni mu swawolny los.

Ale kiedy śnieg przypruszył już skronie, kiedy się ma za sobą życie proste i gorzkie, kiedy już raz potrafiło się powiedzieć „nie” pewnej kuszącej i niepowrotnie straconej okazji — trudno jest przekroczyć te ramy, w które zawarło się sens własnego życia. Ramy honoru i służby.

Wybór „żelaznego” porucznika na dowódcę specjalnego oddziału może stanowić poważną omyłkę jego przełożonych, którzy z pełną zadufania chytrąścią raz jeszcze podsuwają mu „szansę”, uważając, że niechybnie jej ulegnie.

Kapitan Horn wita na drodze nadchodzące od strony przystani i stacji kolejowej

„niespodzianki”. Kilka godzin snu w wygodnym łóżku potrafi go pokrzepić. Już już ogolony i przyjemnie zaróżowiony od porannego chłodu. Sprawy tego dnia układają się przed nim, mimo spodziewanych trudności, w ciąg optymistyczny i napawający otuchą.

Policja konna, a za nią kompania piechoty posuwają się w kierunku cmentarza. Wojsko idzie środkiem drogi, a po obu stronach, bokami, przemykają się sznury mieszkańców wioski. Jedni śpieszą na pomoc obrońcom, inni, ale tych jest bardzo niewiele, chcą oglądać to, co się stanie, tylko w charakterze świadków.

Wójt, mały Marcin Waksjoeld i pastor Mogelsen są przed bramą cmentarza już od wczesnego ranka. Próbowali przekonywać, łagodzić i podmawiać do kapitulacji. Ale rychło sami spostrzegli swą omyłkę.

Sznury ludzi z Ankene, Kollestrom, ze Skormoe wciąż ciągną od strony gór.

I wójt i pastor rozumieją, że ich argumenty na nic się tu nie zdadzą, że tłum rośnie z każdą chwilą. Wzbiera spokojna, stanowcza decyzja — bronić radzieckiego cmentarza.

I oto nowe oddziały kapitana Horna zbliżają się już do wrót cmentarza. Sierzanci z ciężarówek policyjnych po kolei składają kapitanowi raporty.

Ludzie widzą teraz oddziały wynurzające się z zaróżowionej przez słońce mgły. Policję konną i wojsko. Ale równocześnie czują się z każdą chwilą silniejsi, wspierani coraz nowymi dziesiątkami i setkami przybywających zewsząd przyjaciół.

I kapitan Horn spostrzega dopiero teraz, że sama demonstracja zbrojnej potęgi może się okazać nie wystarczająca. Tłum przed cmentarzem jest wielki, trudno go zliczyć, bo częściowo wciąż jeszcze przesłonięty jest mgłą.

Horn wychodzi przed szeregi konnej policji.

— Termin mija — woła donośnie. — Ludzie, czy zastanowiliście się nad tym, co robicie?

Z wielu stron naraz padają odpowiedzi:

— Mamy słuszość. Cmentarz jest na naszej ziemi.

— Będziemy bronić cmentarza.

W rękach ludzi widać kije i laski, niektórzy trzymają kawałki żelaznych rur.

— Nie macie prawa używać tu policji ani wojska — woła Olaf. — Nie szukamy z wami zwady, bronimy tylko sprawiedliwości.

— Jeszcze raz wzywam was do rozejścia się — woła Horn i jego zarumieniona twarz nieco błednie. Nie wolno mu okazać słabości w tej chwili. Buntowników potrafi poskrozić jak trzeba.

Nagle przypomina sobie o obecności dziennikarza i grymas zniecierpliwienia przesuwają się po jego twarzy. Gdzie się podziewa ten drażniący pasażer? Zwraca się z cichym pytaniem do stojącego w pobliżu sierżanta. Ten wzrusza ramionami. Od wczorajszego wieczoru stracił go z oczu.

Więc Horn znów wielkim głosem woła w stronę tłumy:

— Redaktorze Kormoran! Redaktorze Kormoran! Proszę się zgłosić.

Zza szerokich pleców Olafa wynurza się znajoma sylwetka.

— O co chodzi — pyta z daleka.

Horn wdycha z ulgą. Więc odnalazł się kłopotliwy gość.

— Proszę tutaj — woła ostro, strofująco. Czy ten dziwak nie zdaje sobie sprawy z sytuacji? Czego jeszcze szuka w zbuntowanym tłumie?

— Zostanę tu, gdzie jestem — odpowiada Kormoran.

— Proszę nam nie utrudniać! — krzyczy wściekły już Horn.

I znów dziennikarz powtarza z uporem:

— Zostanę tu, gdzie jestem.

Horn chciałby w tej chwili podejść do dziennikarza i trzepnąć go z całej siły w kark. Niechże wreszcie oprzytomnieje ten bałwan! Ale kapitan woli trzymać się w bezpiecznej odległości od buntowników.

— Ostrzegam pana w takim razie przed wszelkimi konsekwencjami.

Kormoran zwraca się nagle do kapitana:

— Poznałem tę sprawę lepiej. Ci ludzie mają rację. Nie mamy żadnego prawa burzyć tego cmentarza, który znajduje się na ich ziemi i który otaczają taką czcią. Jedyne, co panu zostaje, panie kapitanie, to wycofać się.

Horn słucha słów dziennikarza z pozorną uwagą, ale wciąż jeszcze nie może pojąć ich treści. I kiedy po chwili rozumie, o co chodzi, ogarnia go wściekłość.

Kiedy Horn wreszcie opanowuje się trochę, może wykrztusić tylko jedno:

— Drogo pan za to zapłaci. Drogo...

Nie chce już więcej patrzeć w twarz przekłętą dywersanta. Obraca się do swoich ludzi. Widzi dobrze odżywione konie policji, ich sterczącą, zjezoną od chłodu sierść, rzemienie, siodła i metalowe okucia. Widzi broń i mundury. Na wypasionych koniach siedzą tędzy, czerwoni na twarzach policjanci. Patrzają z wysokich swych siodła na ludzi ziemnym, pogardliwym wzrokiem. Horn zwraca się do oficera dowodzącego konną policją:

— Niech pan ich trochę przepłoszy. Ale tak z lekka, oszczędzając koni i ludzi. Jak jeszcze będą się opierać, inaczej z nimi pogadamy.

Oficer głośno, z ostentacyjną brawurą rzuca rozkazy. Policjanci z wprawą wyciągają z pochew długie, gumowe pałki. To lepsze od szabel — jak twierdzą fachowcy.

Na twarzach policjantów trwa wciąż otępiła, pogardliwa nieruchomość. Konie, uderzone ostrogami, zrywają się z miejsca do krótkiego, manewrowego galopu. Jeźdźcy pochylają się w siodłach, hełmy, malowane na zielonkawy, ochronny kolor, lśnią od wilgotnej mgły.

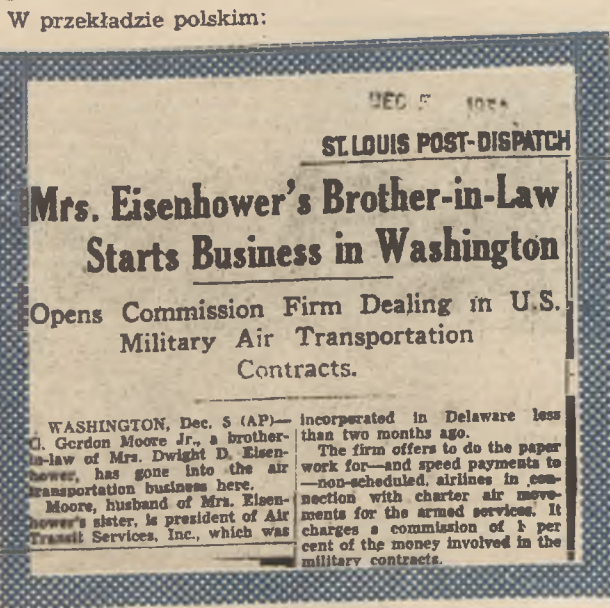
Ludzie cofają się trochę, większość z nich nie zaznała dotąd, co to szarża konnej policji. Serca zaczynają bić trwożnie i na policzki wpelza chłód. Z tłumy padają okrzyki kobiet. Na czoło wysuwają się mężczyźni uzbrojeni w drągi i kije i żelazne łomy. Stojący z tyłu gorączkowo odrywają od ziemi kamienie i ciężkie grudy gliny.

Do ostatniej chwili nikt nie pierzcha, zwierają tylko swe szeregi, stoją coraz twardziej, coraz mocniej. Każdy czuje z dwóch stron obok siebie ramiona innych, czuje na karku ciepłe oddechy tych z tyłu.

Dołczy ciąg w następnym numerze

PIERWSZA JASKÓŁKA

Gen. Eisenhower objął urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych w dniu 20 stycznia br. Przewidujący szwagier jego żony, Mr. G. Gordon Moore, wyprzedził swego dostojnego krewniaka o sześć tygodni. Orientując się w ogromnych możliwościach, jakie zapewnia powinowactwo z lokatorem Białego Domu, Mr. Moore już w początkach grudnia roku ubiegłego sprowadził się do Waszyngtonu i puścił w ruch nowy interes. Jaki? Informuje o tym dziennik „St. Louis Post-Dispatch” z dn. 5 grudnia 1952 roku:



SZWAGIER PANI EISENHOWER ZAKŁADA INTERES W WASZYNGTONIE

Otwiera Firmę Komisową Zajmującą się Kontraktami w Zakresie Lotniczego Transportu dla Wojska

Waszyngton, 5 grudnia (AP). — G. Gordon Moore Jr., szwagier pani Dwight D. Eisenhower, założył tu przedsiębiorstwo związane z transportem lotniczym.

Moore, mąż siostry pani Eisenhower, jest prezesem firmy „Air Transit Services, Inc.”, która została zarejestrowana w stanie Delaware przed dwoma miesiącami.

Firma podejmuje się załatwiać formalności i przyspieszać inkaso należności dla przedsiębiorstw lotniczych, które dokonują przewozów dla wojska. Liczy sobie komisowe w wysokości 1% od sum, na które opiewają wojskowe kontrakty.

Pojmujecie? Różne prywatne firmy transportowe w Stanach Zjednoczonych otrzymują zamówienia na przewozy ładunków dla wojska. Szwagier małżonki pana prezydenta podejmuje się załatwiać w ministerstwie wojny „wszelkie formalności” związane z zawieraniem kontraktów na takie przewozy i przyspieszać inkaso należności od władz wojskowych. Pobiera za to oficjalnie nieźle komisowe w wysokości 1 procentu.

Mr. Moore ma nos do interesów!

MUZYKA I WOJNA



Największą muzyczną „rewelacją” na zachodzie jest dzisiaj młoda piosenka angielska Ewa Boswell, która kursuje między Londynem a Koreą. Zwa ją „Miss Korea”. W Londynie śpiewa, zbiera dla siebie funty szterlingi, a dla żołnierzy brytyjskiej dywizji koreańskiej — pozdrowienia od rodzin. Przebojem piosenkarzem E. Boswell jest foxtrott, zatytułowany: „Niech cię Bóg błogosławi, mój chłopcze”.

O żołnierzy walczących w Indochinach dbają także „muzykalni” imperialiści francuscy. Pod protektorem prezydenta

Londyński tygodnik „Illustrated” ogłasza w numerze z dn. 24 stycznia 1953 r. artykuł poświęcony przestępczości wśród młodzieży angielskiej.

„Młodociany przestępca — pisze tygodnik — nauczył się dziś posługiwać najohydniejszymi rodzajami broni. Często są to trofea z ostatniej wojny. Oto policjant przeglądający arsenał broni świata przestępczego. Starzy przestępcy są znacznie mniej skorzy do użycia broni niż młodociani kryminaliści...”

W podtytuł tego artykułu czytamy na temat przestępczości w Anglii:

„Połowa przestępstw pozostaje nie wykryta. Dwie trzecie spraw sądowych dotyczą przestępstw popełnionych przez młodzież”.

Tygodnik wskazuje również główne źródło gwałtownego wzrostu przestępczości wśród nieletnich: comics!

„Comics, gloryfikujące zbrodnie — pisze tygodnik — rozchodzą się w trzydziestu milionach egzemplarzy rocznie. Nauczyciele domagają się ich zakazu”.

Nie będzie żadnego zakazu. Comics — krwawe i zbrodnicze historyjki obrazkowe, zatruwające młodocianych czytelników Anglii — są głównie importowane ze Stanów Zjednoczonych. Jest to źródło milionowych zysków dla amerykańskich wydawców. I Departament Stanu pilnie baczy, by nikt nie ośmielił się naruszyć tych zysków.

„Po raz pierwszy od lat siedemdziesięciu — donosi z triumfem „New York Herald Tribune” z 16 stycznia 1953 roku — minął rok bez ani jednego wypadku linczu w Stanach Zjednoczonych”.

Powołując się na statystyki Instytutu w Tuska-gee, dziennik obwieszcza nową erę w życiu Murzynów amerykańskich, którzy się już ponoć... nie linczuje. Statystyki jed-

Auriola został zorganizowany niedawno w Paryżu wielki koncert złożony z dzieł Mozarta i Beethovena. Dochód z koncertu przeznaczono na pomoc dla żołnierzy francuskich w Indochinach. Tak, nie mogący się bronić, dwaj zmarli geniusze muzycy zostali wciągnięci do... obozu imperialistycznego. Francja zresztą dba nie tylko o Indochiny. Chcąc przyczynić się do rozwoju „kultury” w Afryce, rząd francuski posłał do Marakesz — girlsy z paryskiego kabaretu, otwierając równocześnie w Marakesz luksusowy dom gry.

BRON MŁODOCIANYCH OPRYSKÓW



Can We Stamp Out The Crime Wave?

Half our violent crime goes unsolved. Two-thirds of that which reaches the courts is committed by youths. On following pages, DOUGLAS WARTH discusses three aspects of a national problem

NIE KIJEM, LECZ PAŁKĄ

nak amerykańskie, to rzecz bardzo zwodnicza. A jeszcze bardziej zwodnicza — amerykańskie komentarze prasowe na ten temat. Bo sprawozdanie wspomnianego Instytutu za r. 1952 stwierdza:

„Faktem jest natomiast, że mnożą się wypadki brutalnego traktowania i zabijania Murzynów przez urzędników wymiaru sprawiedliwości. A wyrazem wzmagania się nastrojów

pogromowych wśród młodości są liczne wypadki bicia, batożenia, podpalań, dokonywania zamachów bombowych etc.”.

Sprawozdanie wylicza 68 wypadków zamachów bombowych na tle nienawiści rasowej lub religijnej. 49 zamachów zwróconych było przeciwko Murzynom, 10 przeciwko białym (prawdopodobnie chodzi o białych — przeciwni-

ków rasizmu), 8 przeciwko żydowskim synagogom, a jeden przeciwko kościołowi katolickiemu.

Krótko mówiąc, nie ma już linczu, tylko są mordy dokonywane przez policjantów, zamachy bombowe, gwałty i zabójstwa popełniane na Murzynach, Żydach i katolikach. Prawdziwy postęp. W technice zbrodni.

Policja brytyjska urządziła obławę w knajpie p. n. „Biały Orzeł”, gdzie uprawiano gry hazardowe. (Z prasy).



„Prezydent” August Zaleski: — Zostaw pan i tak jestem przegrany...

Rys.: Charlie

nasz fotokorespondenci donoszą

TU, GDZIE HARTUJE SIĘ SERCA

Na skutek zrostowego zapalenia worka osierdziowego pewnemu uczniowi ślusarskiemu z Krakowa groziła śmierć. Usiłował jednak rad lekarzy z Miejskiego Zakładu Badań Serca i poddał się operacji, która wróciła mu zdrowie. Już w siedem miesięcy później mógł na nowo rozpocząć przerwana naukę rzemiosła.

Z usług Krakowskiego Miejskiego Zakładu Badań Serca, którym kieruje dr J. Stanowski, korzystają również chorzy z województwa kieleckiego i rzeszowskiego. Prawo pierwszeństwa w leczeniu przysługuje przede wszystkim pracownikom hut, kopalni i fabryk. Po badaniach u lekarzy miejscowych kierowani są oni na leczenie do Krakowa, ale współpraca M.Z.B.S. z lekarzami terytorialnymi umożliwia likwidację choroby serca już w jej początkach.

Krakowski Zakład Kardio-logiczny nie jest jednak ośrodkiem czysto zapobiegawczym, prowadzi on również studia nad chorobami



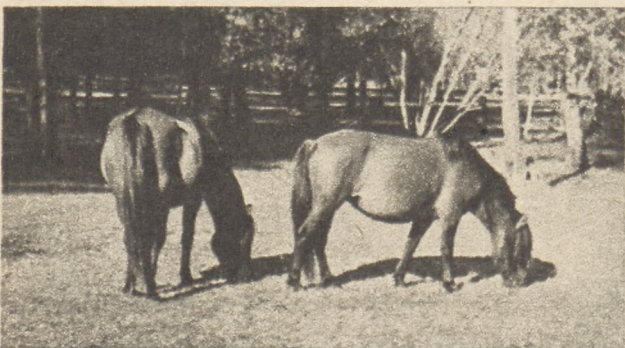
Narada personelu M.Z.B.S. u kierownika Zakładu, dr. J. Stanowskiego

serca, zbierając i analizując bogate materiały z własnych doświadczeń. Zyskały już one uznanie na ogólnopolskich zjazdach lekarskich. W nara-
dach naukowych M.Z.B.S. obok personelu lekarskiego

czynny udział bierze także personel pomocniczy, zyskując w ten sposób coraz wyższe kwalifikacje. Wśród pracowników Zakładu jest wielu kilkakrotnych przodowników.

Z. Okuniewski, Kraków

TARPAN — OSOBLIWOŚĆ PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ



Tarpany na żerowisku w okresie letnim

W okolicach Białegostoku, na południu Lubelszczyzny, znany jest typ silnego, acożkolwiek wzrostem małego, konia, zwanego popularnie konikiem białogostockim. Miejscowa tradycja głosi, że konik ten jest potomkiem dawnego konia leśnego — tarpana, skrzyżowanego ze zwykłym koniem domowym.

Skąd się jednak wziął tarpan w tych stronach? Otóż ordynat Zamojski utrzymywał kiedyś obszerny zwierzynek leśny, tuż przy dzisiejszej osadzie Zwierzyniec nad Wieprzem, z czego nawet miejscowość ta wzięła swą

nazwę. Był to jednak tylko kaprys fantazji hrabiowskiej, który tak jak jednemu ordynatowi przyszedł do głowy, tak innemu (któremuś z kolei potomkowi) znużył się i pod koniec ubiegłego stulecia zwierzynek został zlikwidowany, jelenie, sarny i inna łowna zwierzyna uświadła stół ordynata i jedyny kłopot sprawiała jeszcze leśna koni-
ki, ongi, tak jak zuber, koń i niedźwiedź — mieszkańcy rozległych puszczy polskich.

Ponieważ do pańskich karek nie pasowały, zostały tarpany rozprzeczane okolicznymi chłopom, którzy chętnie je naby-

wali, poznali bowiem ich nadzwyczajną wytrzymałość i małe wymagania żywcowe.

W kilkadziesiąt lat później, po roku 1930, zainteresował się konikami białogostockim prof. Vetulani z Poznania. Z jego też inicjatywy zakupiono kilkanaście sztuk najbardziej zbliżonych cechami zewnętrznymi do protoplastów i umieszczono je w specjalnym rezerwacie na terenie puszczy Białowieckiej.

Przez odpowiednią selekcję, zakup dalszych sztuk wykazujących najczęściej cech tarpana — osiągnięto do 1939 roku dość ciekawe wyniki. Koniki puszczane na teren leśny — zaczęły powoli dziczeć, ob-
wały się doskonale w lecie i zimie bez dachu nad głową, i — co najważniejsze — maść ich z każdym rokiem upodabniała się coraz więcej do wyglądu dawnych tarpanów. U wyhodowanych w rezerwacie koników uwidoczniła się charakterystyczna ciemna pręga na grzbiecie i brzuchu, pregowa-

nie kończyn, stercząca grzywa oraz zmiana maści (bielenie) na zimę.

Wojna przerwała te zaawansowane prace nad regeneracją tarpana. Hitlerowscy okupanci wywieźli najładniejsze okazy, tak że po wyzwoleniu pozostało w rezerwacie tylko 13 sztuk mniej wartościowych. Nie powstrzymało to jednak prac hodowlanych. Dalsze zakupy oraz zmuszona selekcja znów dają dobre rezultaty.

Białowiecki rezerwat konika leśnego — tarpana ma duże znaczenie dla nauki i praktyki. Regeneracja tego gatunku, obecnie żyjącego tylko na terenie ziem polskich, interesuje zarówno przyrodników jak i hodowców koni użytkowych. Przyrodników — jako obiekt rzadkiej fauny, umożliwiający badania nad pochodzeniem konia, hodowców — z uwagi na przymioty tarpana, które tak dobrze znane są chłopom spod Białogostka.

St. Kasprzyk, Warszawa

MAZURY TO RÓWNIEŻ KRAJ ŁOWÓW

Lasy Warmii i Mazur słyną z niezwykłego bogactwa zwierzyzny — zajęcy, dzików, sarny i jeleni. Te lasy, to raj dla myśliwych.

Jeszcze żadnego roku sezon myśliwski nie dał tak pięknych rezultatów jak obecny, toteż państwowe przedsięwzięcie „Las” miało tu „pełne ręce roboty”. Musiało ono zorganizować nie tylko skup zwierzyzny, lecz również przetworzyć, t.zw. owieralnić.

W okresie polowań na zające w woj. olsztyńskim skupiono ponad 15 tys. sztuk tych zwierząt, dzięki czemu „Las” wykonał swój plan w 110%.

Polowanie na zające rozwija się co roku w oparciu o współzawodnictwo między myśliwymi i kołami łowieckimi. Dotychczas najlepsze wyniki osiągnęli myśliwi powiatów: działdowskiego i nowomiejskiego.

Sezon polowań na zające został już zakończony. Długo jednak jeszcze świat pracy Warmii i Mazur będzie korzystał z usług „Lasu”, który stał się już zajęciem zmagazynował w uruchomionej niedawno wielkiej chłodni w Olsztynie.

W najlepsze natomiast trwa sezon polowań na dziki, sarny i jelenie. Samych tylko dzików przedsięwzięcie „Las” skupiło w III kwartale ub. roku ponad 9 ton, wykonując plan kwartalny w ciągu jednego miesiąca. W



Codziennie przybywają do przetwórcy „Las” w Olsztynie samochody ciężarowe pełne saren i dzików

IV kwartałe wyniki polowań były jeszcze lepsze (skupiono w tym czasie 40 ton dzików).

Wyniki tegorocznego sezonu myśliwskiego dowodzą, iż Mazury mogą stać się poważną bazą zaopatrzeniową w dziczyznę i surowiec dla przemysłu futrzarsko-kapeluszniczego.

Bolesław Gaweł, Olsztyn

W KRAJNIE LICZYRZEPI

i kotłownię jeleniogórską — królestwo bajkowego Liczyrzepa. Jeśli wiatr zaczyna śniegiem, widok staje się tylko piękniejszy, a wycieczka, ponieważ jest trudniejsza, trwalej wbija się w pamięć.

Toteż po czasowym wypoczynku nieraz wspominamy przy pracy „Wang”, domy wypoczynkowe o nazwach znad morza: „Bałtyki”, „Mewy”, „Kotwice”, „Soldki” oraz „Młyn Miłości”, schronisko „Na Polanie” i „Strzechę Akademicką”.

Ale przede wszystkim pamiętamy Śnieżkę, której poznanie kosztowało nas wiele wysiłku i trudu, ale przyniosło również wiele niezapomnianych wrażeń.

Antoni Wojciechowski, Łódź



Chciła odpoczynku: szczyt już niedaleko

FESTIWALE ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH SP I LZS

W styczniu i lutym 1953 r. na terenie całego kraju odbywały się zawsze festiwale zespołów artystycznych „Służby Polsce” i Ludowych Zespołów Sportowych. Podczas tych festiwali dziesięć tysięcy i chłopcy z huców „SP” i kół LZS — dokonują przeglądu swych osiągnięć w dziedzinie muzyki, tańca i recytacji.

Do bardzo udanych festiwali zaliczyć należy występ zorganizowany przez Komendę Powiatową „SP” w Starogardzie. Wzięło w nim udział dwanaście zespołów, stojących na ogół na dobrym poziomie. W przygotowaniu państwowych zespołów do festiwalu wzięło niemały udział nauczycielstwo wiejskie.

Największe uznanie publiczności zdobyły zespoły artystyczne LZS z Błewa i Ow-



Maria Czerwińska, solistka chóru z Błewa

dza oraz zespół gromadzki „SP” ze Skorczy.

Rewelacją festiwalu był kol. Franciszek Stachowiak z

Błewa, który stworzył kapitalną i pełną wyrazu postać numerowego w skocz „Gdzieś w Moskwie”. Miłym i silnym głosem wyróżnia się kol. Marysia Czerwińska, również z Błewa. Bardzo dobrze tańczył balet zespołu z Owidza.

Wyróżnione w festiwalach powiatowych zespoły wezmą udział w festiwalach wojewódzkich, które odbywać się będą w lutym. Aż wreszcie w dniach od 6 do 15 marca odbędzie się w Katowicach i Wrocławiu ogólnokrajowy festiwal najlepszych zespołów artystycznych „SP” i LZS. Przewiduje się, iż zwycięzcy tego festiwalu dadzą występ w Teatrze Narodowym w Warszawie.

T. Czabański, Warszawa
Zdjęcia: L. Prymaka, Sopot.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN OD I DO CZYTELNIKÓW

Ostatnio do naszego działu napłynęło wiele listów od Czytelników, którzy poruszają najróżniejsze tematy związane z fotografią. Postaramy się odpowiedzieć na wszystkie ich pytania kolejno. Najpierw zajmniemy się jednym z najobszerniejszych listów, nadesłanym przez W. Wróblewskiego z Łodzi, omawiającym zagadnienia, dotyczące naszego działu.

„Otwarcie stałego kącika pod nazwą „Fotografia na codzień” — pisze nasz Czytelnik — sprawiło mi, jak prawdopodobnie wielu innym, dużą przyjemność i jeszcze bardziej zachęciło mnie do stałego nabywania tego, dzisiaj jednego z najlepszych, tygodników”. Dalej jednak autor listu stawia zarzut, iż w dziale naszym konieczny jest pewien program wykładów, kolejno omawiających poszczególne dziedziny fotografii. Czytelnik nasz uskarża się również, iż dział fotograficzny „zajmuje mikroskopijnie mało miejsca, iż rzeczywiście nie wiele można tam o tej pięknej sztuce napisać”.

Wyjaśniamy: „Fotografia na codzień” istotnie dysponuje niezbyt pokątnym miejscem, lecz nie sposób dościsłać tego rozbi-
dowywać kosztom innych działów czy uszczupleniem korespondencji. Nasze bujne życie przynosi tak wiele wydarzeń i tematów, że trudno nawet pokrótce omówić choćby najważniejsze. „Świat” nie jest pismem fotograficznym i ci, dla których kącik nasz jest za szczupły, już w marcu będą mieli do dyspozycji stały miesięcznik „Fotografia” (Adres redakcji — Warszawa, ul. Śniadeckich 10) — Co do sposobu redagowania naszego działu — aczkolwiek omawiamy dość różne tematy, czynimy to celowo dla zaspokojenia zainteresowań wszystkich Czytelników oraz dla powiązania treści naszych pogadek i porad z porą roku. Nie możemy trzymać się wzorów podręczników fotograficznych (choć w znacznej mierze to czynimy), gdyż wówczas np. przez cały okres zimowy wypadłoby nam omawiać zdjęcia sportowe, nad wodą, itp. — Poza tym wyczerpujące omówienie optyki czy właściwości emulsji w szczupłych ramach naszego działu osiągnęło by się miesiącami.

O brakujące numery 29 — 32 „Świata” należy zwrócić się do „Ruchu”, działu archiwalny — Warszawa, ul. Srebrna 12 po wpłaceniu należności na konto PKO Nr 15-207.

R. Gerlach, Sławno. Światłomierz optyczny lub elektryczny można nabyć tylko okazjonalnie w sklepach komisowych w większych miastach. Zalecamy przy tym ostrożność — kosztowny światłomierz elektryczny może posiadać wady techniczne. Wyskażana pomoc fachowca przy kupnie.

Ob. Minecki, Warszawa. Radzimy rozpocząć fotografowanie aparatem lustrzanym o wymiarach zdjęcia 6 x 6 cm. Dokładnych informacji o popularnym już w Polsce aparacie „Reflecta” (cena ok. 850 zł) udzieli Wam każdy sklep fotograficzny handlu upośrodkowanego.

J. J. Szczecin. — Nie znamy Waszych możliwości i zdolności technicznych. Zbudowanie solidnego i sprawnego powiększalnika jest dość trudne, ze względu na konieczną precyzję. Obiekt w takim powiększalniku powinien mieć ogniskową 5 lub 6 cm. Można go nabyć okazjonalnie. Postaramy się wskazać źródło popularnego opisu konstrukcyjnego.

L. Strzesak, Cieszyń. — Zarówno „Tungspraphot” były do nabycia w handlu uspołecznionym. Obecnie brak ich znowu. Uwagi o braku na rynku pomocniczego sprzętu fotograficznego, jak filtry, ochrony przeciwsłoneczne itp. przyrządy, są słuszne. Poruszyliśmy już to zagadnienie w naszym dziale. Otrzymaliśmy też w tej sprawie wyjaśnienie, iż sprawa zaopatrzenia fotoamatorów w sprzęt fotograficzny była niejednokrotnie rozpatrywana przez władze nadzórne. Obecnie utworzony został specjalny Centralny Zarząd w ramach resortu Min. Handlu Wewn., którego zadaniem będzie dystrybucja sprzętu fotograficznego i optycznego oraz stałe poszerzanie asortymentu. Przyczyni się to niewątpliwie do pełniejszego zaopatrzenia rynku w sprzęt fotograficzny.



Na zdjęciu Marynka (Alicja Dankowska) i Stach (Antoni Szczerkowski) w „Janku” na scenie Opery Wrocławskiej.



Młodzi adepci hokeja na lodzie z uwagą przyglądają się prowadzeniu krążka przez trenera. Dobry sportowiec musi systematycznie pracować nad podniesieniem formy.



Szybkość akcji, precyzyjne podania, zaskakujące strzały — to podstawa sukcesów. Nie wszystkie jeszcze elementy dobrej gry opanowali nasi hokeiści.

CIEMNE PLAMY NASZEGO HOKEJA

KIBICE i obserwatorzy polskiego hokeja na lodzie odnoszą zapewne wrażenie, iż jest to gra wyjątkowo trudna — trudna do tego stopnia, że hokeiści nasi nigdy już nie zagrają na poziomie, który zwykliśmy nazywać „europejskim”.

Przecież we wszystkich dyscyplinach sportu zawodnicy polscy poczynili ogromny krok naprzód (bodaj jeszcze piłka nożna jest nieco w tyle).

Ale jeśli idzie o hokeja na lodzie, fakty świadczą, że w tej dyscyplinie sportu dzieje się nie najlepiej. Spróbujemy tę sprawę wyjaśnić.

W pierwszym okresie po wojnie brakowało sztucznego lodowiska, hokeiści zdani byli na łaskę pogody, która nie zawsze jest łaskawa. W przyspieszonym tempie odbudowano „Torkat” — co niewiele pomogło. Założmy jednak, że poziom naszego hokeja podniósł się nieco w porównaniu z rokiem 1945. Dziś mamy rok 1953. Jak wygląda obecna sytuacja?

Na ostatniej Olimpiadzie w Norwegii zajęliśmy 6 miejsce przed Finlandią, Norwegią i Niemcami zachodnimi (malkontent powiedziałby: czwarte od końca).

ca). W rok później, w roku 1953 spotykamy się z Finami, od których przecież byliśmy lepsi, i z trzech spotkań jedno remisujemy 3:3, jedno przegrywamy 4:5. Młodzieżowa reprezentacja ratuje sytuację i bije Finów 4:2.

Finowie grali dużo lepiej niż na Olimpiadzie, my słabiej. U nich postęp, u nas krok wstecz.

Przed rokiem, w meczach z reprezentacją NRD, byliśmy zdecydowanie lepsi. Obecnie z wielkim trudem wygrywamy 6:5 i 8:4. U Niemców widać wyraźny postęp, my gramy dużo słabiej.

Przyjeżdża do Polski druga reprezentacja CSR i wygrywa z młodzieżową reprezentacją Polski 3:1. Czesi — wiadomo — należą do czołówki światowej. A my? My graliśmy znowu słabo.

Bramkarz Hampel nie puścił więcej bramek, bo — jak określono po meczu — „grał z dużym szczęściem”; napastnicy strzelali w myśl słów wieszczki: „Nam strzelać nie kazano”; do drużyny wstawiono w trakcie gry niezbyt młodego już (reprezentacja była młodzieżowa) Bromowicza, aby ratował sytuację.

O czym to wszystko świadczy? Znowu brak postępu, a jeśli nawet jest, to znikomy.

Fachowcy zarzucają dziś naszym hokeistom brak kondycji (co jest wynikiem mało systematycznej pracy w sezonie letnim), brak opanowania zasad nowoczesnej gry w hokeja, schematyzm w opracowywaniu taktycznych założeń gry.

I to wszystko dzieje się w roku 1953. Po ośmiu przeszło latach, kiedy mieliśmy czas i odpowiednie warunki, aby nie tylko poprawić grę starszych zawodników, ale wychować nowych, i to na wysokim poziomie.

Niewątpliwą winę ponoszą za to trenerzy. Wyjaśnił to zresztą jeden z nich — J. Zarzycki, który w artykule pt. „Dlaczego porażka?” I co dalej?” — ogłoszonym w jednym z tygodników sportowych po meczach z Finlandią, pisze wyraźnie, że trenerzy zamiast uczyć zawodników, zamiast pomagać im w osiąganiu coraz to lepszej sprawności i coraz lepszych wyników, kłócili się między sobą.

Tak jest! O czym bowiem świadczą słowa trenera Zarzyckiego z cytowanego artykułu:

„...Koncepcja budowania drużyny narodowej od podstaw w oparciu o młodzież była reprezentowana od dawna przez nieliczne grono aktywistów hokejowych... Niestety, w ciągu kilku lat nie udało się zrealizować tej koncepcji...”

To chyba wystarczy. Przez przeszło 8 lat nasi trenerzy i aktywiści zastanawiali się, a teraz — na szczęście — uzgodnili między sobą, że jednak trzeba oprzeć się na młodzieży. Lepiej późno, niż wcale. Wydaje nam się jednak, że koncepcja oparcia sportu, a zatem i reprezentacji, na młodzieży nie była wyrażona przez trenerów i aktywistów hokejowych. Istniała od dawna, należało tylko wcześniej wprowadzić ją w życie.

Nasi młodzi hokeiści jadą na Akademickie Mistrzostwa Świata na Semmering. W tej chwili wyniki, jakie tam uzyskają, zależą tylko od nich, od ich gry, natomiast przyszłość polskiego hokeja zależy nadal również od pracy trenerów i aktywistów.

STANISŁAW PIOTROWSKI

ZWYCIĘSTWA I PORAZKI

POZNAN. Mistrzem Polski w koszykówce mężczyzn został zespół łódzkiego Włókniarza, który w finałowym turnieju pokonał drużyny: CWKS, Stal Poznań i Spójnia Gdańsk.

ZAKOPANE. Narciarze CWKS wygrali spotkanie w konkurencji męskiej z zawodnikami czeskiego wojskowego klubu ATK w stosunku 99:70.

MOSKWA. Na lodowisku w Aima Ata, Ryma Zalkowa uzyskała w biegu na 3000 m czas 5:13,8, który jest lepszy o 7,5 sek. od jej własnego rekordu świata.

KRAKÓW. Wojskowi ciężarowcy Białas, Pośpiech i Kłiciński ustanowili w czasie zimowej Spartakiady okręgu trzy rekordy Polski.

NEAPOL. Mistrzostwa świata w podnoszeniu ciężarów odbędą się w sierpniu b. r. w Neapolu.

KRAKÓW. Komisja Weryfikacyjna II Narciarskiego Raidu PTTK dopuściła do raidu 500 drużyn.

OSŁO. Angielska zawodowa drużyna hokejowa Harringay Racers pokonała reprezentację Norwegii 7:3.

ŁÓDŹ. Mistrz Polski w kolarstwie torowym, Jerzy Bek, zdobył tytuł mistrza Łodzi w jeździe szybkiej na lodzie.

SZCZECIN. Spotkanie pływackie o Puchar Miast pomiędzy Szczecinem i Łodzią zakończyło się zwycięstwem gospodarzy 100:87.

MELBOURNE. Niespodzianką mistrzostw tenisowych Australii było zdobycie tytułu przez 18-letniego Rosewalla przed faworytem Rose.

ROZWIĄZANIE ŚWIĄTECZNEGO KONKURSU „ŚWIATA” „18 KWADRATÓW”

Na wstępie wypadnie nam poinformować Czytelników, że praca nad segregacją rozwiązań dobiega końca (przejrzeliśmy ich już blisko 5 tysięcy) i że w najbliższym numerze naszego pisma opublikujemy listę nagrodzonych. Dziś — w odpowiedzi na liczne zapytania Czytelników — podajemy prawidłowe rozwiązanie konkursu.

Przeplatanka portretów i rysunków, jeśli rozpocząć od lewego górnego rogu, przedstawia się następująco:

Pablo Picasso
paleta malarska
Jan Matejko
Krzyżak
Mikołaj Kopernik
układ planetarny
Izaak Newton
mapka Anglii
Hewlett Johnson
gołębek pokoju
Paul Robeson
tabliczka „Whites only” („tylko dla białych”)
Joe Louis
rękawice bokserskie
Zygmunt Chyćla
medal olimpijski
Emil Zatopek
„lokomotywa”
Julian Tuwim
łutnia poetycka

Aleksander Puszkina
dama pik

Piotr Czajkowski
„noc wigilijna”

Sergiusz Obrazcow
lalka

Bolesław Prus
piramidy faraonów

Napoleon Bonaparte
Moskwa, rok 1812

Lew Tolstoj
„Sonata kreutzerowska”

Ludwik van Beethoven
rzymska dziewczątka

Ilja Erenburg
gołębek pokoju Picassa

Wróciliśmy w ten sposób do punktu wyjściowego, koło zamknęło się, wszystkie kwadraciki z rysunkami znalazły się na swoich miejscach.

Uczestnicy konkursu, nawet ci, którzy nadesłali błędne rozwiązania, wyrażali się w listach swych z uznaniem o samym konkursie, który pomógł im odświeżyć w pamięci pewne wiadomości dotyczące historii czy kultury. Czytelników, domagających się częstszego zamieszczania konkursów, zapewniamy, że Redakcja planuje w przyszłości dalsze. Będziemy się starać, aby każdy nowy konkurs nie tylko był ciekawy, ale i wnosił nowe tematy i nową formę.



Widzowie śledzą z napięciem emocjonujący pojedynek... Hokej cieszy się w Polsce popularnością mimo wszelkich błędów i braków naszych drużyn.

O ŻYCIU WALCE I ŚMIERCI WALTERA



Plómiennego komunistę i nieustraszonego żołnierza — gen. Waltera odgrywa J. Wyszomirski. Wielki historyczno-batalistyczny film o gen. Świerczewskim pt. „Żołnierz Zwycięstwa” reżyserowała W. Jakubowska.

KTO zdoła odtworzyć tę porywającą postać komunisty, plómiennego patrioty i nieustraszonego żołnierza? Oto jeden z najtrudniejszych problemów, które stanęły przed Wandą Jakubowską, reżyserem wielkiego, dwuseryjnego filmu historyczno-batalistycznego o generale Świerczewskim, p.t. „Żołnierz Zwycięstwa”. Ustalenie roli odtwórcy gen. Świerczewskiego kosztowało wiele trudu i żmudnych poszukiwań. Po szeregu nieudanych prób i perypetiach grupy realizatorskiej filmu, powierzono ją Józefowi Wyszomirskiemu, byłemu reżyserowi Teatru Domu Wojska Polskiego.

Praca nad filmem znajduje się w końcowym stadium realizacji. Do ostatniej chwili nie ustały jednak głębokie aktorskie i reżyserskie studia nad postacią Świerczewskiego, aby każda scena, każdy ukazany moment był najprawdziwszy nawet w najdrobniejszych szczegółach.

Wyszomirski, przygotowując się do roli Świerczewskiego, studiował gruntownie dzieła klasyków marksizmu-leninizmu. Studia te pomogły mu zgłębić znajomość epoki i były one podstawowym kluczem do zanalizowania postaci życiowej Świerczewskiego. Wyszomirski poznał gruntownie życiorys generała, przewertował bogate materiały, które udostępnił twórcom filmu Wydział Historii Partii. Studia te były tym konieczniejsze, że scenariusz W. Jakubowskiej i J. Borejszy słusznie przedstawia Świerczewskiego na szerokim, bogatym tle walki wyzwolenczej polskiej klasy robotniczej, związanej w tej walce nierozdzielnie z klasą robotniczą innych krajów, a przede wszystkim z proletariatem rosyjskim.

W związku z życiem gen. Świerczewskiego zobaczymy w pierwszej serii filmu wypadki rewolucji 1905 r., pierwszą

wojnę światową, Rewolucję Październikową, wojnę domową w Hiszpanii, strajki robotnicze i chłopskie w Polsce w r. 1936, obronę Warszawy we wrześniu 1939 r. i napaść hitlerowską na Związek Radziecki. Druga seria zobrazuje epizody bitwy na przedpolach Moskwy, walki I i II Armii Wojska Polskiego, wreszcie zwycięstwo i narodziny Polski Ludowej, jej odbudowę i początki podstaw socjalizmu.

Ukazanie takiego ogromu wydarzeń, pokierowanie dziesiątkami aktorów o niezwykle odpowiedzialnych rolach oraz tysiącami statystów, jest zadaniem nie spotykanym dotychczas w historii filmu polskiego. Filmów o tak rozległej problematyce, o takim rozmachu niewiele zna kinematografia światowa. Wzorem może być tu jedynie kilka monumentalnych, historyczno-biograficznych filmów radzieckich. Dlatego też przed przystąpieniem do realizacji „Żołnierza Zwycięstwa” przygotowani trwały niezwykle długo. Podstawowe prace przy napisaniu i opracowaniu scenariusza dokonali: Wanda Jakubowska oraz znany publicysta Jerzy Borejsza. Kiedy śmierć zabrała współpracownika i towarzysza — Wandę Jakubowską kontynuowała sama wspólnie rozpoczętą pracę.

Mozolne studia nie skończyły się jednak wraz z pracą nad scenariuszem. Jakubowska, jako reżyser filmu, musiała ustalić prawdziwość szczegółów w tysiącach scen. Pozornie wydaje się, że na błahostki można nie zwracać uwagi, a jednak... pogląd ten jest z gruntu fałszywy. Np. scenariusz przewidywał scenę musztry żandarmerii carskiej z r. 1905. Jak ta musztra wyglądała? Oto nowy problem, bez którego rozwiązania praca nad filmem uległaby zahamowaniu.

Trudności są tym większe, że w niektórych dziedzinach jest niewiele fa-

chowców, którzy by mogli służyć radą czy to w sprawie szczegółów technicznych pewnych scen, czy też kostiumów. Takich pozornych błahostek było w filmie wiele. Tymczasem o ostatecznym wyrazie artystycznym dzieła i jego sile oddziaływania rozstrzyga m. in. właśnie dbałość o szczegóły, o drobiazgi. Dlatego też tak ważny i nieodzowny w realizacji podobnego filmu jest, choć pracy reżysera i operatorów, liczny i wysoko kwalifikowany zespół dekoratorów, charakteryzatorów, elektryków, pirotechników i innych sił pomocniczych. Zespół realizatorski „Żołnierza Zwycięstwa” nie włączył do filmu ani jednego fragmentu ze starych kronik filmowych czy filmów dokumentalnych. Wszystkie sceny batalistyczne są specjalnie wykonane do filmu w atelier lub w plenerach. Bierze w nich udział 40.000 statystów, setki czołgów, dział i samolotów. Sceny masowe z okresu 1905 roku, z wojny domowej w Hiszpanii, z pierwszej i drugiej wojny światowej nakręcone zostały pod Tomaszowem Mazow. i Rudą Pabianicką, inne

w Warszawie, Wrocławiu i Poznaniu. Fragment filmu, przedstawiający tragiczną śmierć gen. Waltera, został odtworzony na szosie pod Baligrodem.

Niemalży wkład do filmu wnieśli nasi radzieccy towarzysze. Konsultacja operatora radzieckiego F. Firsowa, wskazówki i rady tego doświadczonego filmowca pomogły operatorom polskim w zastosowaniu wielu ciekawych technicznych ujęć.

Niestrudzone ręce charakteryzatorki Anny Tolkunowej pracowały długie godziny nad charakteryzacją naszych aktorów. Kierownik zespołu pirotechników, Dymitr Mironow, specjalista od wszelkiego rodzaju wybuchów, zasłon dymnych itp., to prawdziwy artysta w swoim zawodzie.

Poważne i odpowiedzialne zadanie wykonali również oficerowie i żołnierze Wojska Polskiego, z wielkim entuzjazmem i ambicją biorąc udział w filmie o gen. Świerczewskim.

Film już wkrótce ukaże się na ekranach.

WL. L. LIKSZA

„JEDEN DZIEŃ W WARSZAWIE”

PRÓBA NOWEGO GATUNKU FILMOWEGO

KOMEDIA „Jeden dzień w Warszawie” jest próbą zupełnie nowego rodzaju filmowego w polskiej twórczości. Nie posiadamy tradycji ani żadnych wzorów w tej dziedzinie, toteż realizacja filmu jest w pewnym sensie pracą eksperymentalną, na której wyniki czekamy z zainteresowaniem. Autorzy i realizatorzy zdawali sobie sprawę przy pisaniu scenariusza, że w pracy swej, ze względu na specyficzny rodzaj filmu, napotkali trudności, zwłaszcza w zakresie dramaturgicznym. Konstrukcja scenariusza została pomysłana ostatecznie jako szereg samodzielnych scen powiązanych fabułą. Łączenie to dokonuje się za pośrednictwem pary głównych bohaterów, występujących w akcji, oraz narratorsa, objaśniającego niektóre sceny.

Do ciekawszych rozwiązań koncepcyjnych filmu należy powierzenie jednemu aktorowi — Adolfowi Dymaszy — aż ośmiu różnych ról.

Postaciami, które odgrywa Dymaza, są: 1) spekulant, 2) szofer warszawskiej taksówki, 3) biurokrata, 4) kelner, 5) gaduła, 6) bikielnarz, 7) ekspedient, 8) bokser.

Poza Dymaszą zobaczymy w rolach głównych Bogdanę Niewinowską z Teatru Wapółczesnego w Warszawie w roli reporterki terenowego warszawskiej stacji telewizyjnej oraz młodą aktorkę z Torunia, Gizelę Piotrowską, w roli — delegowanej do Warszawy celem załatwienia przydziału pianina do świetlicy fabrycznej — przodownicy pracy dużej fabryki obuwia.

Poza tym zobaczymy w wielu epizodach znanych aktorów, jak Irenę Kwiatkowską, Hankę Bielicką, Edwarda Dziewońskiego, Janę Kurnakowicz, Kazimierza Opalińskiego, Józefa Konrada i wielu innych. Barbara Bittnerówna występuje w fragmencie tanecznym filmu jako „Kwiaciarka ze Starego Miasta” oraz jako „Bachantka” tańcząca w parku Łazienkowskim w Warszawie. Feliksa Parnella zobaczymy jako partnera Bittnerówny, w tańcu własnego układu. „Pieśniarzami Warszawy” w specjalnie wybudowanej dekoracji



We fragmencie tanecznym nowego filmu polskiego „Jeden dzień w Warszawie” występuje Barbara Bittnerówna.

Jedna z batalistycznych scen „Żołnierza Zwycięstwa”: patrioci hiszpańscy podejmują bohaterską walkę z przeważającymi siłami faszystów generała Franco.



ROZMOWA

NA MARGINESIE

„WESOŁEJ II“



Górnik K. Kupc jest bohaterem epizodu w filmie dokumentalnym „Wesoła II“.

WESOŁA II“ jest pierwszą kopalnią węgla wybudowaną po wojnie. Do eksploatacji oddana została w dniu święta lipcowego 1952 roku.

Ostatnie miesiące walki o przedterminowe uruchomienie kopalni utrwalił na taśmie filmowej kolektyw absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, zatrudnionych obecnie w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie. Film ten nosi tytuł „Wesoła II“, jego scenarzystą i reżyserem jest Witold Lesiewicz, zdjęcia Zbigniewa Raplewskiego.

Wywiad? Nie, raczej rozmowa. Rozmowa na marginesie realizacji filmu o „Wesołej II“. — Rozmowa ta prowadzona jest w Katowicach, gdyż realizatorzy „Wesołej II“ pracują obecnie nad filmem o wielkich piecach „A“, „B“ i „C“ hut „Kościszko“.

Wybór tematu nie jest wcale rzeczą łatwą i przypadkową. Dlatego też pytamy na wstępie:

— Dlaczego „Wesoła II“? —

— Temat ten — mówi reżyser Lesiewicz — wybraliśmy z wielu względów. „Wesoła II“ miała być pierwszą kopalnią oddaną do eksploatacji po wojnie, prace przygotowawcze do jej uruchomienia stały się szkołą nowych metod pracy i techniki dla budowniczych kopalń w Polsce.

— Początkowo przygotowywałem inny film z dziedziny górnictwa, który ze względów technicznych nie doszedł jednak do skutku. Nie chcąc „wyjść“ z tematyki górniczej, rozpocząłem poszukiwania od nowa. Zwiedzałem kopalnie jedną po drugiej, ale w żadnej z nich nie udało mi się znaleźć tematu przyszłego filmu. Wreszcie zwróciłem się o pomoc do partii. — W Komitecie Wojewódzkim tow. Miłogost poradził mi, abym udał się — nie jak dotychczas do starych kopalni, ale na „Wesołą II“, która znajduje się w budowie.

W dniu, kiedy zjechałem na dół wraz z oprowadzającym mnie zawiadowcą Majką, w „Wesołej II“ wydarzył się wypadek. Wskutek nieostrożności trzech górników, zranił ich osypujący się kamień. Sprawą tą zajął się Majka i teraz, chodząc wraz z nim, poznałem życie kopalni w sposób bezpośredni. Mówił on o ogromnych trudnościach w budowie. W opowiadaniu tym zarysowało się takie bogactwo faktów i problemów, że stanowią one już same w sobie gotowy materiał do scenariusza. A teraz sprawa druga, nie mniej istotna. Zetknąłem się z ludźmi związanymi z budową — z ludźmi, którzy w pracy swej nie liczą godzin i wysiłków — z ludźmi, dla których budowa jest wszystkim.

Natrafiałem na kierownika Żurka, który właśnie po trzech dniach wyjechał z dołu, nieogolony, brudny, zmęczony i zachrypnięty, a o kopalni mówił z prawdziwym zapalem, nawet... miłością. Ponadto rzuciła mi się od razu w oczy t.zw. filmowość tematu — walka z przeciwnościami, odwieczna walka człowieka z ujarzmianą przyrodą.

Kopalnie produkcyjne, które cykl robot mają już zamknięty, przypominają doskonałą maszynę, w której wszystkie tryby i kółka kręcą się według ustalonego już z góry porządku. „Wesoła II“ w okresie budowy potrafiła zaskoczyć mnie, mimo iż sam kiedyś pracowałem w górnictwie, czymś zupełnie nowym, czego nie spotykałem dotychczas. I to był koniec „poszukiwań“ tematu.

— Po krótkiej dokumentacji — mówi dalej reż. Lesiewicz — przystąpiłem do napisania scenariusza. Było teraz dla mnie jasne, że wobec stale przybliżających terminów otwarcia kopalni, ekipa filmowa będzie musiała włożyć w swą pracę wiele zapału, aby dotrzymać kroku budowniczym „Wesołej II“. Ponadto liczyłem się już z tym, że szereg momentów, które uwzględni scenariusz, ulegnie pewnym zmianom w trakcie realizacji, równoległe do rozwoju wypadków w samej kopalni.

— Jakże wybraliście dla filmu zasadnicze momenty i jak przebiegała późniejsza konfrontacja koncepcji samego scenariusza z ulegającą ciągłym zmianom rzeczywistością w „Wesołej II“?

— Scenariusz, który powstał, poruszał, jak sądzę, najistotniejsze problemy budowy kopalni. Mieszczą się one w trzech zasadniczych punktach: walka o sprawną odstawę kamienia (dojście do węgla wymaga przecież wykucia w kamieniu znacznej ilości przekopów, zbudowania szeregu komór podziemnych), droga do węgla i uruchomienia pierwszej ściany węglowej oraz walka o powietrze, czyli sprawa stworzenia rozgałęzionego systemu wentylacyjnego, doprowadzającego powietrze przede wszystkim na ściany, gdzie wydobywa się węgiel.

Pisząc scenariusz zasadniczy, punkt ciężkości filmu widziałem w uruchomieniu ściany węglowej. W rzeczywistości, którą stworzyła sama kopalnia, kulminacyjnym momentem walki o uruchomienie „Wesołej II“ stała się sprawa przebicia „dukli“, czyli szybiku wentylacyjnego. Po tej linii zmieniliśmy pierwotną koncepcję scenariusza.

Do rozmowy przyłącza się operator Raplewski.

— Praca nie była oczywiście łatwa, ale spodziewaliśmy się tego przystępując do realizacji — mówi Raplewski. — W dukli na przykład pracowaliśmy w niebywalej ciasnocie, zalewała nas woda, musieliśmy wiele naszej uwagi poświęcić zabezpieczeniu reflektorów. W tym celu okrywaliśmy je szczelnie płachtami gumowymi, chroniliśmy kable, izolowaliśmy przewody. Największą jednak trudnością było rozmieszczenie i zamaskowanie reflektorów (które musiały przecież oświetlać, a nie mogły być widoczne) — dydłemat do rozwiązania trudny wobec braku miejsca. Zagadnienie to rozwiązywaliśmy przy pomocy górników, którzy wydrążyli w skale wgłębienia specjalnie dla reflektorów.

— Twórczy stosunek do pracy samych budowniczych „Wesołej II“ po kilku dniach udzielił się całej ekipie — dodaje Lesiewicz. — Górnicy byli dla nas świetnym przykładem, powtarzam to chętnie raz jeszcze, i w wielu wypadkach służyli pomocą i radą. W takich warunkach film powstawał wspólnie i temu też zawdzięczamy, że został on ukończony wraz z oddaniem kopalni do eksploatacji.

JERZY KADEN

z HISTORII FILMU

„HURAGAN“ PO DWUDZIESTU PIĘCIU LATACH

W ROKU 1928 ukazało się na ekranach piętnaście filmów długometrażowych polskiej produkcji o bardzo szerokim wachlarzu tematycznym — od „Dzikuski“ Zarzyckiej do „Pana Tadeusza“ Mickiewicza. Obok „Szałas miłości“ i „Niewolników życia“ znalazło się w repertuarze kin miejsce na filmową wersję „Przedwiośnia“ Żeromskiego. Polska Agencja Telegraficzna popisywała się reklamową „Tajemnicą skrzynki pocztowej“, a do stojąca wiekiem i doświadczeniami produkcyjnymi wytwórnia „Sfinks“ szczyliła się melodramatem „Tajemnica starego rodu“ z „gwiazdą“ — Jadwigą Smosarską. Menu obfite, szkoda tylko, że ani strawne, ani smaczne...

Nie szczędziła gorzkich i cierpkich słów polskim filmom — prasa. Nawet arcyreżimowa „Polska Zbrojna“ pisała, że „panowie filmowcy nie tylko nie znają się na filmie, ale nie znają się po prostu na handlu. Nie rozumieją, że przy interesie jednorazowym można nawet oszukać. Można puścić w świat partię butów z papierowymi podeszwami i geszt na ten raz się uda. Ale nie podobna całej produkcji butów oprzeć na teksturalnych podeszwach. Taki interes musi się urwać“. Te właśnie filmy, do butów na papierowych podeszwach podobne, sprawiły, że nikt naszej produkcji nie brał na serio. Antoni Słonimski stwierdził w jednej ze swych kronik tygodniowych, że „każdy nowy film to nowa mogiła nieznanego reżysera filmowego“.

W roku 1928 na piętnaście gorąco i krzykliwie reklamowanych przebojów tylko dwa filmy nie ściągnęły na siebie gromów krytyki, lecz wręcz przeciwnie — słowa uznania. Dostrzeżono w nich jakieś przebliski zerkania ze szmirem i szablonem, nieśmiałe próby artystycznej emancypacji. Pierwszym z tych wyjątków był „Kropka nad i“ — dramat kamedialny Juliusza Gardana. Drugim — „Huragan“, dzieło „Wytwórni filmów historycznych“. O „Kropce nad i“ — trudno dziś pisać, nie przechodziła się bowiem kopia filmu. Można natomiast, oglądając zniszczoną, niedawno przez francuską kinotekę przyslaną kopię „Huraganu“ — skonfrontować dzisiejsze wrażenia z ówczesnymi poglądami. Można spróbować odpowiedzieć na pytanie — czy rzeczywiście „Huragan“ był dwadzieścia pięć lat temu — filmem wyjątkowym, wielkim krokiem naprzód?

„Huragan“ był filmem o roku 1863. Oto treść obrazu opowiedziana słowami reklamowej wzmianki w „branzowym“, dla właścicieli kin przeznaczonym piśmie „Kino dla wszystkich“: „Potężna, groźna postać margrabiego Wielopolskiego, manifestacje na ulicach stolicy, szarżę dziczy czerkieskiej, pięciu poległych na Placu Zamkowym, branka i wybuch powstania, bal u namiestnika Gorczakowa, triumfy i klęski partii powstańczej, cicha, tragiczna miłość szlachcianki polskiej do młodego bohatera, namiętność i zemsta pułkownika Czerkiesów, obrona dworu szlacheckiego i pochód zesłańców na Sybir, wszystko to przewinie się krwawą wstęgą, wstęgą heroizmu i rozpacz, świętego entuzjazmu i dławiącego gardło wzruszenia, przez akcję tego filmu“.

Reklamowy anons w dosyć dokładny sposób wylicza elementy fabuły „Huraganu“. Poprzez zawile

perypetie miłosnej awantury dociera jednak do widza specyficzna interpretacja historyczna wydarzeń 1863 roku. Bohaterami powstania jest mała garstka szlachetnych i szlachetnych młodzieńców. Mówi się o Wielopolskim, ale nie mówi się o „Czerwonych“. Nie ma w filmie rządu powstańczego, nie ma Romualda Traugutta. Jest natomiast tchórzliwy miejski plebs i zdradzieckie chłopstwo, wydające w kozackie ręce — rannych, wycieńczonych z głodu powstańców. Niczym nie różni się „Huragan“ od innych nacjonalistycznych i reakcyjnych filmów, a niewiele, mimo patosu i retoryki, odbiegał od recepty polskiej produkcji filmowej, tak soczyście określonej przez Magdalenę Samozwaniec: „Polskie filmy mają swój system — stale się w nich powtarza motyw polskiego dziewczęcia o nogach jak młode dębczaki, które kocha się w ułanie i ma za papę obywatela ziemskiego z nosem jak trąba, a talią jak bomba“.

A więc nie w treści, nie w ładunku ideowym szukać należy usprawiedliwienia pochlebnej oceny „Huraganu“. Może więc forma filmu była na owe czasy rewelacją? Natchnienia dla znalezienia właściwego kształtu plastycznego obrazów szukali realizatorzy w malarstwie Grottingera. Pomysł niewątpliwie interesujący, szkoda tylko, że już w samej jego koncepcji tkwiły zasadnicze błędy. Nie znajdziemy w „Huraganie“ prób znalezienia filmowego odpowiednika malarzkich pierwowzorów, roi się natomiast film od dosłownych inscenizacji w formie żywych i do tego „ruszających się“ obrazów — znanych cyklów — „Polonia“ i „Lithuania“.

I jeszcze jedno — nie szukano w Grottingerze pierwiastków realistycznych, ale z upodobaniem wylapywano wszystko, co nosi w sobie atmosferę mistycznej wizji. Świadczy o tym najlepiej alegoryczna scena w zakończeniu filmu.

Niewiele zostanie z „Huraganu“, jeśli spojrzymy nań krytycznie z dzisiejszej perspektywy. To, co się wydawało krytykom burżuazyjnym sprzed 25 lat nowością i świeżością filmu, jest najwyżej pewną rzeźmiśniczą zręcznością reżysera, a zwłaszcza operatora. Jasno natomiast rysuje się polityczny sens „Huraganu“ — rok 1863 przyprowadzony w nacjonalistycznym sosie, świadomie spacone spojrzenie na bohaterские tradycje przeszłości, pozbawione jej wielkich, postępowych i rewolucyjnych akcentów.

Kim byli autorzy filmu? Scenariusz napisał Jerzy Braun, literat-faszysta, w okresie przedwojennym redaktor nacjonalistycznego tygodnika „Zet“, głoszącego imperialistyczne i rasistowskie hasła pod maską mistyki. Operatorem był wieńdeńczyk — Hans Thayer. Wreszcie reżyserem był debiutant — Józef Leytes. Czy mr. Leytes pamięta dziś o swoim debiucie i o współpracy z antysemitą — panem Braunem? Z włoskiego pisma filmowego „Bianco e Nero“ dowiedzieliśmy się, że mr. Leytes jest twórcą filmu „Wierne miasto“, gloryfikującego sjonistycznych kolonizatorów, i że nosi „zaszczytny tytuł“ — „Urzędowego reżysera kinematografii Izraela“. Oto ostatnie wcielenie twórcy „Huraganu“.

JERZY TOEPLITZ

TEATR ŚWIAT

DYREKCYJA I TEKST: JAN SZELĄG DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

UWAGA GAPIE!

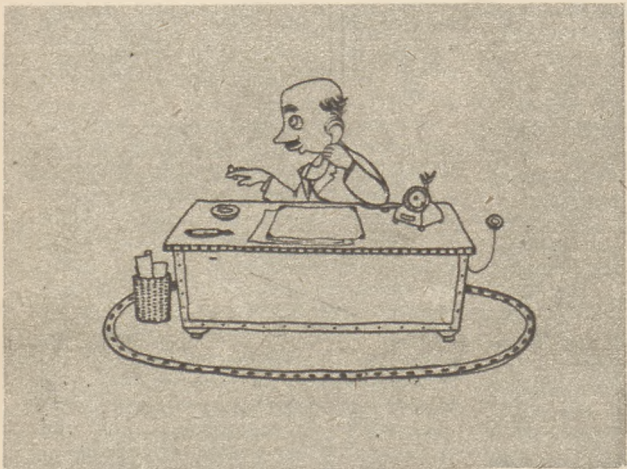
Widowisko pouczające

Scena przedstawia gabinet, biurko, za biurkiem siedzi Gapiewicz.

GAPIEWICZ: Czujność — to sprawa bardzo ważna! Na każdym zebraniu i na każdej odprawie mówię o potrzebie czujności. Ale teraz nie rozumiem. Wynaleźli jakiś nowy termin: gapiostwo. Cóż to znaczy? To przecież obraźliwe. Wszyscy są czujni, wszyscy mają oczy i uszy otwarte i mowy nie ma o żadnym... żadnym... jak oni to piszą... aha, właśnie — gapiostwie.

(Dzwoni telefon)

Hallo. Tak, ja! Kontroler przyjechał? No to co mi zwracacie głowę... Zwyczajnie, jak zawsze wprowadzicie go w sprawy naszego przedsiębiorstwa i koniec... Ja? A po co?... No nie, ja nie mogę się byle głupstwem zajmować... Nie, no nie można badać jego papierów. Kontroler to kontroler... Nie, nie, ja nie. Jestem bardzo zajęty: muszę stać na straży czujności. Cześć!



(Odkłada słuchawkę)

Swoją drogą trzeba by machnąć do naszej gazetki ściennej jakiś nowy artykuł o potrzebie czujności. Dawno takiego nie było, już ze dwa tygodnie...

(Telefon)

Hallo... Tak, ja... Jakie cyfry?... Aha, te wzory dotyczące naszej produkcji. Dobrze, zaraz wam podam. Ze

co? Chcecie po nie przyjść, bo to tajemnica, więc nie przez telefon... I co, co?... Mówicie, że jak będę podawał głośno przez telefon, to sekretarka usłyszy i ludzie, którzy tu za drzwiami siedzą. Moi drodzy! Wy mnie nie uczcie czujności, dobrze?! Moja czujność polega na tym, że tu u mnie za drzwiami pracuje dwudziestu pięciu samych murowanych ludzi... No więc bierzcie ołówki... Na co macie czekać przy telefonie?... W żadnej kasie ogniotrwałej. Widziałem już takie kasy ogniotrwałe, co się paliły, jak zapałka, albo je rakiem rozpruwali i tyle... Gdzie trzymam te wzory? W kamizelce, w górnej kieszonce od kamizelki... Aha, widzicie! Słyszeliście kiedy, żeby się kamizelka spaliła, albo żeby ją włamywacze rozpruli?... Ha, ha. Dobrze, co?... Co z tymi wzorami? Aha, tak... No właśnie szukam... Wiecie co, ale ja nie wziąłem tamtej kamizelki... A bo ja wiem, może żona od-



dała do czyszczenia, a może wyrzuciła, bo to była stara, jeszcze kawalerska kamizelka... Znajdą się, znajdą... Ale widzicie, wróg tych wzorów nie znajdzie. Grunt to czujność! Cześć!

(Odkłada słuchawkę; za chwilę telefon znów dzwoni)

Słucham... No, co się stało... No wiem, że plan zawalony. Wiecie, to skutki tych wygórowanych planów. Siły ludzkie mają swoje granice, a kiedy jeszcze na dodatek surowca za mało... Nie za mało? Co wy wygadujecie! Zaopatrzeniowiec?... No znam, znam... Nie przez żadne kumoterstwo, tylko z polecenia wuja mojej teściowej; liczyć się ze słowami. Kradł... Sabotaż... Ale przecież on ciągle mówił o czujności. No, kto mógł przypuszczać. Dziwna sprawa. Do widzenia.

(Skończył rozmowę, znów telefon)

Hallo! A, panna Jańcia. Nie, złotko, jestem zajęty, piśzę artykuł w sprawie wzmożenia czujności... List poufny z centrali? Niech pani otworzy... Z pieczęciami, do mnie osobiście. Cóż to, takie dziecko słabe, że nie potrafi samo pieczętiki lakowej złamać? Oj, Jańciuniu moja słodka... No niech pani otworzy i niech pani czyta, bo naprawdę nie mam czasu... Jak, jak?...! Jeszcze raz proszę... Dymisja? Za brak czujności?... Ja im pokażę... To ich wina, nie ja się tutaj sam mianowałem, tylko oni mnie... A w ogóle, co to znaczy gapiostwo?...!

KURTYNA

WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

SKARGA MELOMANA

Lubię koncerty, muzykę, światło,
Ale, niestety,
Jeszcze w Warszawie ciągle nie łatwo
O te bilety.

Trzeba mieć wpływy, trzeba znać droge,
Pchać się na siłę,
Ale ponieważ ja tak nie mogę —
Postanowiłem:

Mam syna w Gdańsku (dyrektor z syna),
Jadę do Gdańska...
Załatwił z miejsca. Grała Halina
Czerny-Stefańska.

Potem przeżyłem znów piękne chwile
U wujka w Mirsku...
Także dyrektor. Dał mi więc bilet
Na Wilkomłaską.

Potem w Krynicy wałę do stryja
(Także nie pędrak!)

Prezes! I znów mnie frajda nie mija:
Koncert ma Kędra.

Kuzyn w Pyrzycach, który jest znany,
Lecz nie zna „Toski”,
Zaprasza. Chodzę oczarowany
Turskobandrowski.

Wracam do domu. Siedzi na przyźbie
Moja jedyna...
— Wiesz, jak to dobrze, kiedy w ojczyźnie
Mieszka rodzina!

Każdy cię wita, prosi gorąco,
Ze tami prawo!...
Masz używanie — codziennie koncert...
Ale w Warszawie:

Taki satyryk... Brak mu, kochanie,
Autorytetu.
Na głowie stanie, a nie dostanie,
Psiakrew, biletu!

Droży Czytelnicy!

Przykładem zacieraającej się więzi przyjacielskiego zbliżenia z naszym działem jest m. in. list Ob. Czesława K. (nazwisko i adres znane Redakcji), który w prosty, bezpośredni sposób pisze o sobie, czyni rozrachunek ze swoją przeszłością, mówi o swoich załamaniach i prostowaniu dróg życiowych prowadzących go nieraz na manowce.

„...W latach mej młodości (urodziłem się w r. 1909) — pisze Ob. K. — nie stać mnie było na kupno książek. Czytałem więc obok lepszych czasopism i brukową literaturę 5-groszową. Czytałem szmatławce wydawane przez ówczesne nasze wydawnictwa, a redagowane i rozpowszechniane przez tzw. „kulturalny Zachód”. Literatura ta trafiała do mej chłopięcej wyobraźni i spacyła w pewnej części mój umysł; reszty dopełniły wydawnictwa klerykalne, jak „Rycerz Niepokalanej”, „Przegląd Katolicki” i inne znów brukowce władzy kościelnej. Wpadały mi, czasem i postępowe książki i czasopisma, ale w sumie z tego powstał zupełny chaos w mej głowie, gdyż czytałem chaotycznie i w dodatku moje wykształcenie to tylko 4 oddziały szkoły powszechnej ukończone w 1921 r.

Kochana Redakcjo! Nie umiem się jasno wyrazić i podać na papier natłoku myśli, które cisną mi się stale do głowy. Chcę jednak wyrazić serdeczne me podziękowanie, iż dzisiaj dożyłem tych czasów, gdy książki i gazeta są dostępne dla tych wszystkich, którzy lubią czytać. Dziś można sobie pozwolić zaprenumerować czasopisma takie, jakie wybredny czytelnik sobie upodoba. Kiedyś z zazdrością patrzyłem na podobnych przyjaciół książek i czasopism jak ja — kiedy sobie kupili książkę, np. „Pana Tadeusza”, co dla mnie było marzeniem tylko. Dziś doczekałem tych czasów, gdy mogłem na imieniny mej córki kupić jej w prezencie pełne wydanie Mickiewicza. Kiedyś marzyłem, aby się uczyć. Marzenia tego nie zrealizowałem, bo czasy nie były dla takich jak ja dla nauki. Dziś doczekałem tej radosnej chwili, że moje dwie córki (też fanatyczki nauki) mają średnie wykształcenie. Jedna z nich pracuje jako nauczycielka, druga natomiast studiuje na uniwersytecie w Toruniu. Nie przeszkadza to nawet, iż ja, ich ojciec, nie ze swojej winy, ale z winy czasów, w których się urodziłem i ludzi, wśród których się obracałem i wychowywałem od 12 roku życia — gdyż mając lat 12 straciłem tragicznie ojca — zostałem sprowadzony na manowce. W 1950 r. zostałem ukarany na więzienie, lecz karę darowano mi na mocy amnestii.

Ale odbiegam od tematu. Otóż czytam „Świat” od deski do deski i pragnę z całego serca wyrazić podziękowanie Kochanej Redakcji za pouczające artykuły. Nie tylko pouczające, ale i wychowawcze. Artykuł dr Ałapina trafił mi głęboko do przekonania, boć i ja, przyznać się muszę, przez pewien okres czasu też lubiłem popić. Ale to nie nasza wina, a wina tamtych czasów i okupacji. Nam prostakom ułatwiano picie tej trucizny — kończy list Ob. K. — Dziś prasa i partia walczą z tym nałogiem i spuścizną tamtych czasów“.

List Ob. K. nie jest opracowanym życiorysem i nie obfituje w dokładne szczegóły, ale w całym jego tonie wyczuwa się prawdę człowieka, który borykał się z życiem, który błędził, ale który również podźwignął się z upadku i wiele rzeczy zrozumiał dzięki uczciwemu spojrzeniu na otaczającą go rzeczywistość.

Poprzez fragmenty drukowanego tu listu odsłania się los człowieka, jego przeszłość, duma ojcowska, radość z nowej drogi, którą wybrał. Coraz więcej dzisiaj ludzi, którzy przechodzili koleje podobne do kolei życiowych Ob. K., potrafi radować się „fanatyzmem naukowym” swoich dzieci, potrafi także zrozumieć, że głównym źródłem zła, paczającym charakter i deprawującym myśli, był ustrój wyzysku i nędzy, ustrój ciemnoty i wsteczności.

„ŚWIAT”

John Foster Dulles wyjeżdża do Europy Zachodniej, w znoizaku z trudnościami w montowaniu armii europejskiej.



Rys. Zbigniew Złomecki

Europa Zachodnia staje murem za USA

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

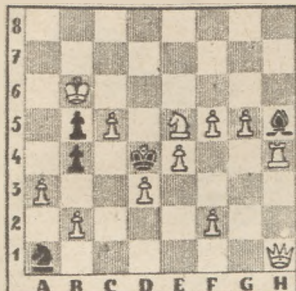
Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wklesłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 41. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-11615

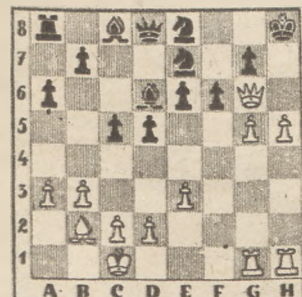
ZADANIE A 79

L. KUBBEL



Mat w 3 posunięciach.

ZADANIE B 80



W przedstawionej pozycji białe energicznie i szybko zakończyły partię matem. W jaki sposób?

PARTIA NR 51

grana w półfinale olimpiady szachowej w Helsinkach.

Obrona królewsko-indyjska
Białe: Teschner (Niemcy Zach.)

Czarne: Najdorf (Argentyna)

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 g7-g6 3. Sb1-c3 Gf8-g7 4. e2-e4 0-0 5. Sg1-f3.

Nie daje białym przewagi. 5. e5, gdyż ich wysunięte pionu stałyby się obiektem ataku.

5... d7-d6 6. Gf1-e2 Sb8-d7 7. 0-0 e7-e5 8. Wf1-e1 e5-d4 9. Sf3-d4 Wf8-e8 10. Ge2-f1.

System ten niejednokrotnie stosowany przez Teschnera podczas olimpiady nie może zapewnić białym przewagi, gdyż jest zbyt pasywny.

10... c7-c6 11. Sd4-c2. Zmów pasywne posunięcie. Lepsze było 11. Gf4.

11... Hd8-c7 12. f2-f3 Sd7-e5 13. Gc1-e3 Gc8-e6 14. b2-b3 Wa8-d8 15. Ge3-d4 Sf6-h5.

Czarne rozwinęły harmonijnie swoje figury i przystępują do działań zaczepnych.

16. Hd1-d2 f7-f5 17. e4:f5

Ge6:f5 18. Gd4-e3? d6-d5! 19. c4:d5 Gf5:c2 20. d5-d6.

Białe obawiały się nie wątpliwie po 20. H:c2 c:d5 nieprzyjemnego związania skoczka. Jednak i posunięcie w tekście ma swoje wady, co Najdorf energicznie wykorzystuje.

20... Hc7-a5! 21. Hd2:c2 Ha5:c3!

W ten sposób czarne doprowadzają do końcówki, w której mają wyraźną przewagę.

22. Hc2:c3 Se5:f3+ 23. g2:f3 Gg7:c3 24. Gf1-c4+ Kg8-g7 25. Ge3-g5 Gc3-f6 26. Gg5:f6+ Kg7:f6 27. We1:e8 Wd8:e8 28. Kg1-f2 We8-d8 29. Wa1-d1 Sh5-g7 30. Gc4-f1 Sg7-f5 31. d6-d7 Kf6-e7.

Białe nie mogą obronić pionu d7, co w tej pozycji prowadzi do przegranej.

32. Wd1-e1+ Ke7:d7 33. Gf1-h3 Wd8-f8 34. We1-e5 Kd7-d6 35. f3-f4 Wf8-f7 36. Kf2-f3 Sf5-e7 37. We5-e6+ Kd6-c5 38. We6-e5 Se7-d5 39. We5-e4 g6-g5 40. f4-f5 h7-h5! 41. We4-e6 Sd5-f4!

Białe poddały się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo:

Rząd 1: Ulubiona potrawa Włochów — Ciężkie roboty wykonywane za karę.

Rząd 2: Pole uprawne — Bezkręgowce zwierzęta stawonogie najczęściej skrzydlate.

Rząd 3: Kraj między Dunajem, Marosem i Ciszą — Napierśnik żelazny, pancerz.

Rząd 4: Stolica Baskirii — Cukier gronowy — Masa uszczelniająca szyby.

Rząd 5: Koc — Muza pieśni miłosnej — Miasto portowe w Japonii.

Rząd 6: Szeroki kombinezon futrzany — Wybitne jednostki — Ogół żon u mahometan.

Rząd 7: Łowca psów bezpańskich — Płaskie szerokie statki towarowe.

Rząd 8: Miasto między Rawa Ruską i Sokalem — Kolor w kartach.

Rząd 9: Lekki budynek ogrodowy — W mitologii: bogini nocy i wszystkiego, co ukryte jest przed okiem ludzkim.

Rząd 10: Znak średniowieczny wyrażający nutę muzyczną — Zdrobniałe imię żeńskie — Wąż niejadłowy.

Rząd 11: Zaporowa woda — Jedna z elektrod — Tytuł powieści Zolii.

Rząd 12: Okres czasu — Fantazyjna ozdoba architektoniczna — Wieloryb.

Rząd 13: Rodzaj pistoletu — Wiedza.

Rząd 14: Przyrząd do ważenia — Inaczej: nie ci sami.

Rząd 15: W mitologii greckiej: bóg śmierci — Słynny wodospad w Ameryce.

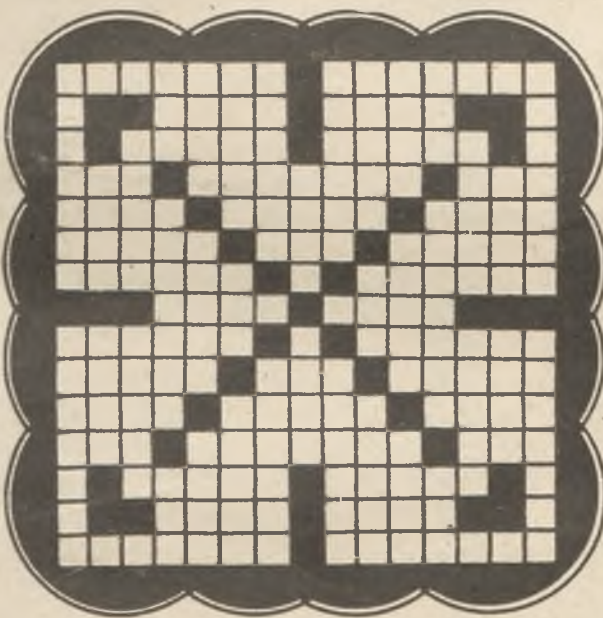
Pionowo:

Rząd 1: Spóźniający się, pozostający w tyle — Przekór rodziny, protoplasta.

Rząd 2: Uczta, biesiada — Legendarny król Brytanii, bohater dramatu Szekspira.

Rząd 3: Styl w architekturze — Gęsta kurzawa.

Rząd 4: Skrót spotykany na receptach lekarskich — Jedno ze stanów USA — Miasto w Indiach.



Rząd 5: Miejsce walk bokserskich — Scena cyrkowa — Kamień półszlachetny.

Rząd 6: Figury okrągłopodłużne — Inaczej: niedobra — Fizyk francuski.

Rząd 7: Przyroda — Owoc podzwrotnikowy.

Rząd 8: Helm strażacki — Kula ziemniaka.

Rząd 9: Złotnice — Alkaloid zawarty w małych ilościach w herbacie.

Rząd 10: Lekki statek do służby wywiadowczej i depe-szowej — Pierwiastek chemiczny — Tytuł staropolski.

Rząd 11: Waga opakowania — Bicz myśliwski z krótką rekojścią — Ssak drapieżny.

Rząd 12: Utwory poetyckie — Komediant, lichy aktor — Część omasztowania (wspak).

Rząd 13: Skwapliwa, chętna — Trawa po raz drugi rosnąca na skoszonej łące.

Rząd 14: Starożytna nazwa mieszkanka półwyspu Pirenejskiego — Rodzaj cięcia w szermierce.

Rząd 15: Kłótnia, wykładnia — Rozkład na części.

(K. Fiedorowicz — Skarżysko-Kamienna)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 71

SZYFROGRAM: Wszystkie listy odda naród polski dla realizacji zadań Planu Szóstoletniego, (aplauz, leszcz, równa, jesień, siodło, trotyl, klinga, liście, dekada, adonis, szpada).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 71 nagrody książkowe otrzymują:

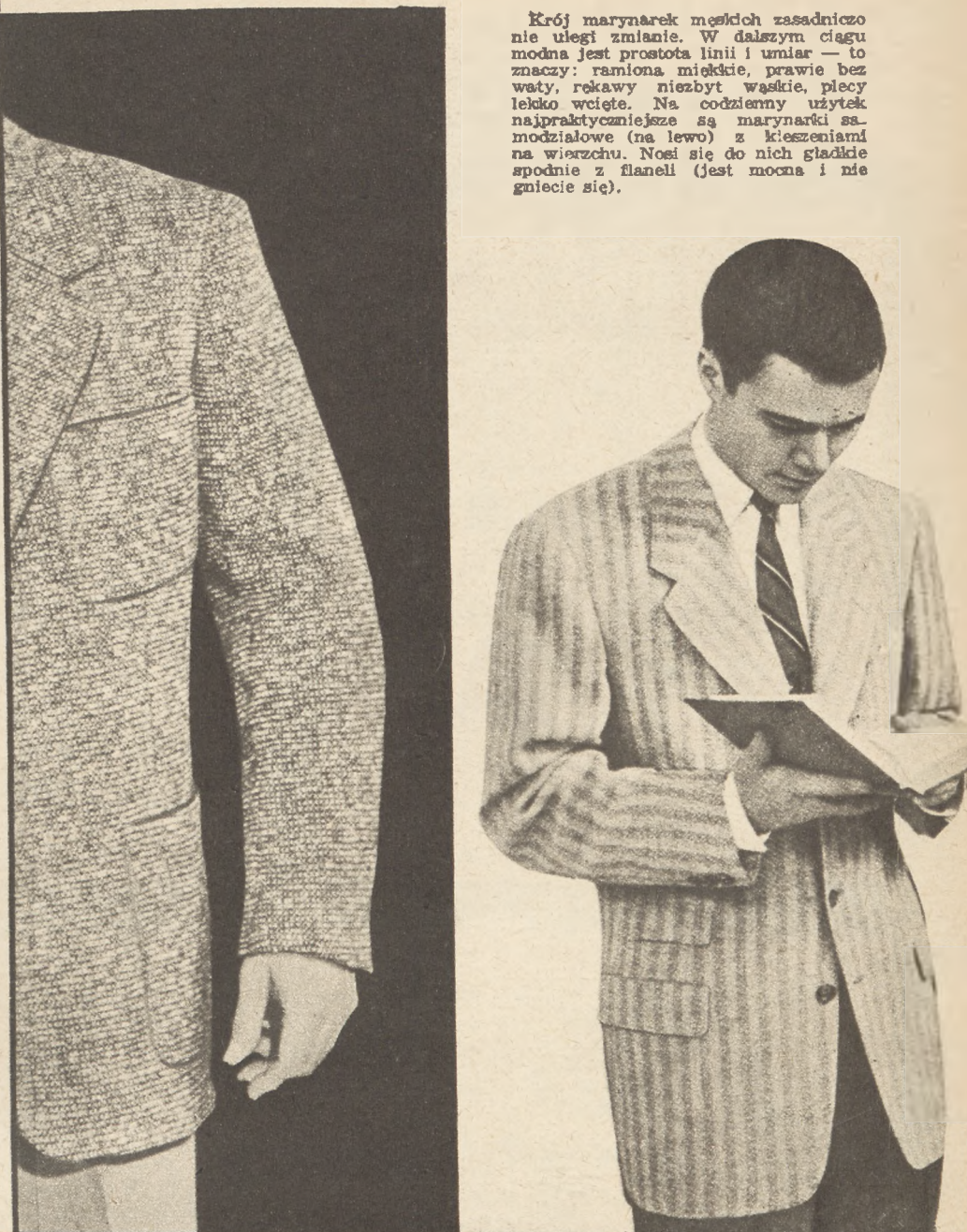
1) J. Błaszczyk — Wrocław, ul. Słowicza 10, 2) T. Broekere — Poznań, ul. Matejki 51, 3) J. Dorniak — Gdynia, Skwer Kościuszki 15, 4) K. Duma-

nowski — Miedzyrzecz, ul. Libelta 2, 5) E. Galon — Bielawa, ul. Kwiatowa 2, 6) A. Grochowska — Łódź, ul. Sterlinga 9, 7) F. Hankus — Miłanówek, ul. W. P. 25, 8) S. Jakus — Łódź, ul. Piotrkowska 152, 9) J. Kmiecik — Łódź, ul. Wschodnia 5d, 10) J. Kwaśniewska — Warszawa, ul. Francuska 26, 11) J. Michalska — Grodzisk Maz., ul. Harcerska 7, 12) H. Mo-krzycka — Bydgoszcz, ul. Chocimska 18, 13) M. Nowo-sadowna — Warszawa, ul. Sien-

na 41, 14) J. Rajczykowski — Częstochowa, ul. Mickiewicza 56, 15) A. Romański — Warszawa, ul. Górczewska 17b, 16) M. Siennicka — Łódź, ul. Więckowskiego 30, 17) S. Wąligórski — Szczecin, ul. Przybyszewskiego 31, 18) J. Wasilewska — Warszawa, ul. Grottegera 19, 19) K. Wędzichu — Wałbrzych, ul. Zeromskiego 2, 20) M. Wołyński — Olsztyn, ul. Pieniężnego 18, CZPM.

Nagrody wysyłamy pocztą: prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

Krój marynarek męskich zasadniczo nie uległ zmianie. W dalszym ciągu modna jest prostota linii i umiar — to znaczy: ramiona miękkie, prawie bez waty, rękawy niezbyt wąskie, plecy lekko wcięte. Na codzienny użytek najpraktyczniejsze są marynarki samodzielnego (na lewo) z kieszeniami na wierzchu. Nosi się do nich gładkie spodnie z flaneli (jest mocna i nie gniece się).



TANIO i ŁADNIE



Marynarka druga jest bardziej elegancka, ale mniej praktyczna. Uszyta ją z jasnej wełny bezowej w nikiły desień. Do marynarek tej nosi się gładkie spodnie brązowe i ciemny krawat.

Na lewo pokazujemy idealny model spodni męskich. Przy takim kroju niepotrzebny jest pasek. Tak powinny być uszyte spodnie na lato.

Obok kurtka-wiatrówka. Może być (w zależności od potrzeb) uszyta ze skóry, z gabardiny, albo po prostu z welwetu. Niezbędna dla sportowców. Może również służyć jako strój do pracy.

Z PARYSKIEGO SZKICOWNIKA ERYKA LIPIŃSKIEGO



LOUVRE. Venus z Milo



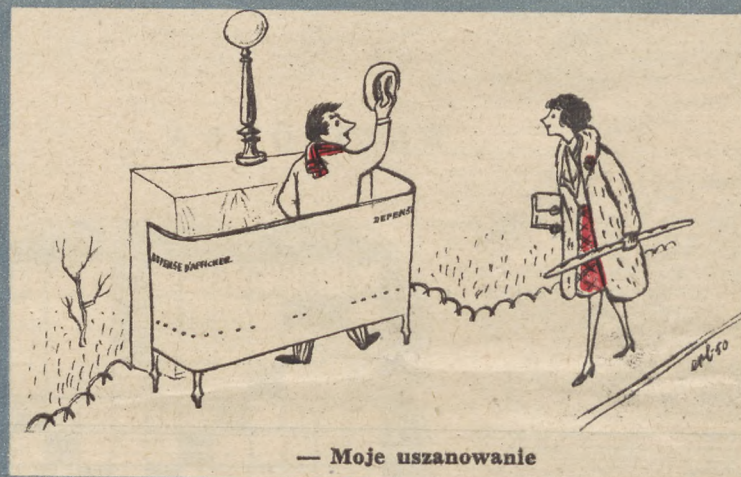
W pokoju hotelowym



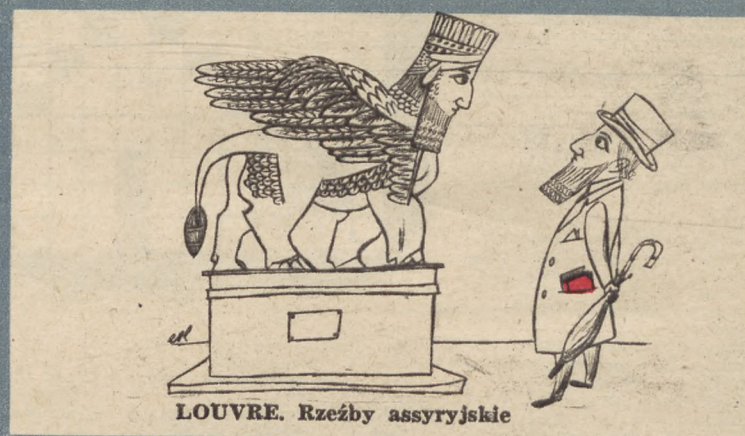
Nie przeszkadzać! Amerykanin je śniadanie!...



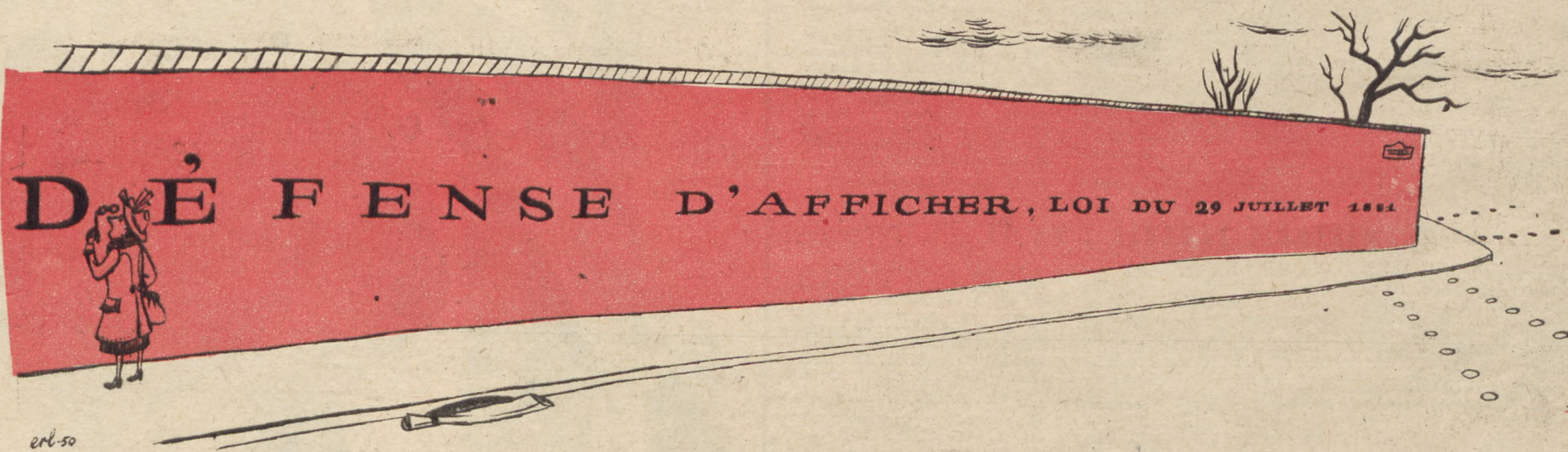
Pierwszy dzień turysty



— Moje uszanowanie



LOUVRE. Rzeźby assyryjskie



Zabrania się naklejać plakaty.